

# **Aleksandra Janusz "Mrówki w Żółtych Tarasach"**

# Aleksandra Janusz "Mrówki w Żółtych Tarasach"



*Słowo od autorki: niniejsze opowiadanie jest dziełem fikcji. W celach dramatycznych poczyniłam kilka założeń dotyczących technologii i robotyki, które nie muszą być zgodne z jej obecnym poziomem. Pandemia, która pojawia się w moich tekstach z tamtego okresu, przyszła niecały rok później i na szczęście nie osiągnęła rozmiarów katastrof znanych z fikcji – chociaż czasem było trudno.*

## Mrówki w Żółtych Tarasach

Jagoda skradała się boczną nawą kościoła przy Bażantarni ze śrutówką w rękach i własnoręcznie skonstruowanym emitorem EMP przy pasie. Parła naprzód w krótkich, nieregularnych podbiegach, uważnie stawiając stopy, żeby potłuczona terakota nie chrzęściła pod butami.

Przez okno z pociemniałym, rozbitym witrażem wpadała do środka smuga słonecznego blasku. Początkujący złomiarz podszedłby nocą, tak zrobił tamten wytatuowany chłopak z Raabego. Do tej pory leżał przed ołtarzem, sztywny i pokryty zaschniętą krwią, zwinięty w kłębek w ostatniej, daremnej próbie zasłonięcia twarzy przed ostrzami drona. Nie wszystkie maszyny dezaktywowały się po zachodzie słońca, wiele z nich strzegło zdobyczy w trybie uśpienia. A noc dawała im przewagę, zwłaszcza tym, które korzystały z sonarów.

Jagoda pamiętała, gdy w kościele odprawiano msze, i wtedy wydawał jej się kiczowaty – cały w pudrowych różach, beżach i złocie, jak stare domki dla lalek. Ktoś jej wyjaśnił, może babcia, a może ciocia – obie wtedy jeszcze żyły – że wzorowano go na stylu epoki Bizancjum. Teraz spleśniały, nieco zezowaty Chrystus nadal unosił dwa palce w geście błogosławieństwa, ale brakowało mu połowy szaty, a ze sklepienia i ścian tynk złuszczał się wielkimi płatami, odstaniając wielkie czarne wykwyty, w ślad których szła mszysty zieleń. Budynek okazał się za duży, zbudowany z tym samym iście bizantyjskim rozmachem, co wiele innych przed kryzysem, i nikt na osiedlu nie miał ani siły, ani ochoty, żeby go pielęgnować i dogrzewać podczas deszczowych zim. Za to znaleźli się tacy, co za łakomy kąsek uznali instalację elektryczną, a pozrywane kable walnie przyczyniły się do

postępującego procesu rozkładu.

Wielka przestrzeń pod wysokim dachem mogła przywoływać skojarzenia ze świątyniami innego typu, i tak właśnie zinterpretowało ją oprogramowanie hyundaia, który unosił się, warcząc, nad cuchnącą kupką przedmiotów starannie ułożonych w stosy przy ołtarzu. Trzymał w chwytниках skrzynkę, chyba wypełnioną awokado. Jagoda z przyzwyczajenia regulowała gogle, usiłując namierzyć numer seryjny, chociaż już widziała, że to E851, tak zwany gremlin. Podstawowa klasa załadunkowa, pięć kilo udźwigu, prościutka SI o możliwościach uczenia się porównywalnych do wolno żyjących nicieni. Krążyło tego na kopy w Jankach, w większej gromadzie zachowywały się jak wściekłe osy. Nikt nie dawał rady, cała praska gildia próbowała kiedyś wjazdu i nic. „Trzeba by to gównu potraktować rzutami z napalmu, może by się przestały rozlać po zamieszkałych dzielnicach.”

Jagoda przemierzyła płynnym krokiem odległość od jednej kolumny do drugiej i znów zastygła w miejscu. Nie myślała nad tym, co robi – każdy złomiarz, który przeżył pierwszy rok pracy, ruszał się, jakby pracował z dzikimi zwierzętami. Chwilę obserwowała drona, czekając na moment, w którym będzie zajęty składaniem nowego łupu na stos. Potem z kieszeni bojówek wyłuskała konsolę i wetknęła poklejony taśmą kabelek w gogle.

Sygnалу nie było, czego się zresztą spodziewała. Gdyby zwykły gremlin miał działający radiodbiornik, pozbyłby się go jakiś młodociany haker z osiedla. Pewnie już tego próbowano. Mogli ją wezwać tydzień temu, gdy dron się tutaj zagnieździł, ale poskąpili wydatków na fachowca. Jagoda czasem się zastanawiała, czy mentalność „zrób to sam” uratowała kraj po kryzysie, czy pogłębiła jego powolny rozkład.

Złomiarka odepchnęła niechciane, natrętne myśli i skoncentrowała się na tym, co miała przed sobą. Na rotorach maszyny furkotały łopatki, kamerki na wysięgnikach obracały się wokół własnej osi, a błyszczące płaskie skrzydła – tak naprawdę panele fotowoltaiczne – upodabniały ją do gigantycznego owada. Nerwowe, drżące, pracowite zagrożenie, jak cywilizacja, która go stworzyła.

Emiter EMP był za słaby na drona klasy załadunkowej, więc Jagoda ostrożnie podniosła strzelbę, przycelowała i wypaliła. Gremlin wybrał tę samą chwilę na obrót. Stuk, stuk, tylko kilka kawałków ołowiu trafiło w cel. Dron bujnął się w powietrzu, na konstrukcji zapłonęły czerwone diody, kamerki zwróciły w stronę źródła strzału, z korpusu wysunęły dodatkowe chwytaki zakończone stalowymi szponami.

- Uwaga, alarm – rozległ się damski głos. – Intruz z bronią ostrą. Pracownicy proszeni o poszukanie schronienia. Powtarzam: pracownicy proszeni o poszukanie schronienia.

Musiał rzeczywiście przylecieć z Janek, bo emitując dźwięk, nie wisiał już w miejscu i prezentował korpus do odstrzału, tylko frunął w jej stronę jak miniaturowy meserszmit. Jeden rotor mu padł i trochę go nosiło na boki, ale powysuwał stabilizatory i dawał radę. Znaczący, wyszkolony, naekspozycja na takich frajerach jak ten pod ołtarzem.

Jagoda schowała się za kolumnę i bez celowania oddała kolejny strzał, a następnie, w oczekiwaniu na spotkanie z gremlinem, uniosła opancerzoną lewą rękę nad głowę. Szpony zgrzytnęły o puklerz. W prawej dłoni złomiarki błysnął nóż. Mechanicznym gestem, przetrenowanym dziesiątki razy w praktyce, złapała drona za chwytaki, odginając je tak, żeby ostre końce znajdowały się z dala od niej, i dźgnęła prosto w rotor, blokując łopatki śmigła.

Nawet wojskowa toyota nie polata sobie na dwóch niewyważonych wirnikach, a co dopiero zwykły hyundai. Maszyna trzasnęła o ziemię, awanturując się jak wściekła; diody migwały na czerwono, kamerki kręciły się w kółko, a chwytaki obracały w poszukiwaniu ofiary. Jagoda nie miała

najmniejszej chęci dać się pociąć, więc odskoczyła i wycofała się za drugą kolumnę, ze strzelbą w rękach.

Zacisnęła zęby i wypaliła znów.

Zdechło wreszcie.

Wypuściła powietrze z płuc. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że wstrzymywała oddech. Dron dogorywał jeszcze chwilę, przywodząc na myśl zwierzę w przedśmiertnych drgawkach. Jagoda pokręciła głową z niesmakiem. Wyraźnie traciła refleks, połowa dawki leku może i utrzymywała ją na chodzie, ale to stanowczo nie wystarczyło. Zmarnowała dziś tyle śrutu, co żółtodziób, a obojczyk pobolewał ją od źle zamortyzowanego odrzutu. Korpus będzie nie do odzysku.

Podeszła i trąciła go butem. Może bateria albo dwie uniknęły naszpikowania łożem, kto wie. Poza tym – zlecenie wykonane i wyjątkowo nie zapłacą jej dziś w jajkach ani marchewce. A skoro już mowa o żywności... ciekawe, czy skradzione awokado jeszcze się do czegoś nadają?

\*\*\*

Jej klacz czekała na zewnątrz pod dzwonnica i przeżuwała pokrzywy. Gdyby trzydzieści lat temu ktoś powiedział młodziutkiej Jagodzie, że do pracy będzie jeździć konno, popukałaby się w głowę. Ale świat ulegał zmianom niezależnie od oczekiwań. Konie nie potrzebują drogocennych paliw kopalnych, nie zależą też od stacji ładowania. Hucuły bezustannie ładują do baku gałązki wierzby, liście mirabelek, trawę rosnącą na skwerach, koniczynę, pokrzywę, łopian i co tam się pleni pod blokami, cudzy rozmaryn i hibiskusy. Konie też zanieczyszczają środowisko, ale są to zanieczyszczenia pożądane, a nawet cenne. Jeden facet na osiedlu zrobił biznes z handlu nawozem i dlatego klacz nosiła teraz worek pod zadkiem. W zamian Jagoda co pewien czas dostawała bełę siana. Perpetuum mobile, recykling doskonały.

Złożony dron miał rozmiary średniej wielkości skrzynki i ważył mniej więcej dwa razy tyle, co pojemnik z awokado. Nie było sensu patroszyć go na miejscu, więc skrzynkę z owocami złomiarka zapakowała do worka po prawej, drona do worka po lewej, a sama, mimo sceptycznego spojrzenia klaczy, umiejscowiła się między tym wszystkim na siodle. Zdjęła mokry od potu hełm, przetarła brudną ręką czoło, a potem wyciągnęła z za pasa chustkę i zakryła nią głowę. Czuła się bogata. No dobrze, przesada – umiarkowanie zamożna. A przynajmniej wzbogaci się, gdy weźmie nagrodę, zełomuje hyundaia i wszystko razem wymieni na małe, białe, nadal produkowane gdzieś za siedmioma górami i lasami pigułki.

Pałace słońce wschodziło nad parkiem pod kościołem, prażąc liście dogorywającym jabłoniom, niknąc w koronach drzew oliwnych i w gąszczach zdziczałego, rozrośniętego bukszpanu, do cna wysuszając martwe kasztanowce. Zleceniodawca prowadził gospodarstwo niedaleko stąd, jedno z tych z tradycjami, jeszcze sprzed kryzysu. Kiedyś bogaci ludzie, tacy jak babcia Jagody, przyjeżdżali tam po rośliny na balkony i do ozdobnych ogródków. Teraz za płotem znajdowało się ufortyfikowane ranczo skupione na produkcji żywności. To stamtąd dron ukradł skrzynkę awokado, podobnie jak kilka innych przedmiotów, które złożył na stos. Maszyna była przy tym dostatecznie sprytna, aby nie dać się ustrzelić strażnikom. Zresztą na szkodniki wzywało się specjalistów. Przeciętny warszawski kowboj, taki jak pracownicy rancza, nosi karabinek; łatwo je dostać z demobilu, łatwo utrzymywać w dobrym stanie, ale sprawdzają się na ludzi, a nie na roboty.

Jagoda wiedziała, że dadzą jej zatrzymać skrzynkę, bo łupy wedle umowy należały do niej. Przejrzała nawet stos w nadziei, że znajdzie się coś ciekawego, ale nie było tam nic prócz nadgniętych warzyw, popsutych plastikowych zabawek, połamanych paneli fotowoltaicznych i prania ściągniętego z balkonów w całym rewirze drona. A prócz tego jedna drewniana noga.

Dwóch parobków przyglądało się Jagodzie spod słomkowych kapeluszy, gdy podeszła do bramy. Wszędzie drut kolczasty, deski nabijane gwoździami – przymocowane tak, żeby nie zerwał ich jesienny huragan, bliżej wejścia strażnik z karabinem przechadzający się wedle płotu. Gdzieś dalej, przy szklarniach, bawiły się usmarowane ziemią, bose, opalone na brąz dzieciaki.

Na jej widok wartownik niespiesznie podeszedł do bramy.

- A pani do kogo?

- Ja ze zleceniem. - Jagoda rozchyliła worek. - Sprawa załatwiona, przyszedłam po zapłatę.

Strażnik zrobił wielkie oczy.

- Przecież pan Janicki gada właśnie ze złomiarzem, co wykonał zlecenie.

Jagoda uniosła się w strzemionach. Z oddali dostrzegła szczirowatego gościa na sfatygowanym elektrycznym skuterze rozmawiającego z wysokim, ubranym na białą (widać było, że sam nie dotyka się do pracy w polu) właścicielem rancza.

- Morty. Ty mały chujku - mruknęła. - Proszę pana, on wszystkim pokazuje ten sam złom. Ja mam gremlina i wasze awokado - przechyliła się na koniu i pokazała zawartość drugiego worka.

- Ja jebię, co za ludzie - jęknął strażnik. - E! Żenia! Leć po pana.

Niedługo potem Morty został uprzejmiem, ale stanowczo wyprowadzony za bramę razem z jego skuterem, workiem z dyżurnym dronem oraz urażonym ego. Zaciskał usta, świdrując Jagodę złym spojrzeniem.

- A weź se tę baterię, smacznego - zawarczał na jej widok. - Niedługo to ja się będę śmiał. Zaprosili mnie Avengersi, rozumiesz?! Avengersi. Na wjazd do Złorasów. I sobie nie myśl, że cię zaszczycą. Wszyscy dobrze wiedzą, z kim ty się zadajesz na bazarze, co kupujesz. Może kodeinki, może mety? Wiedźmińskie eliksiry, stara kurwo.

Jagoda siedziała w siodle z wystudiowaną wzdrgadą, nie zaszczycając mężczyzny nawet spojrzeniem. Nie przestawał kłapać paszczą, ale uruchomił wreszcie skuter i zniknął z pola widzenia.

- Przepraszam za tę scenę. - W stronę bramy szedł właśnie gospodarz. Wysoki, szczupły pięćdziesięciolatek w płóciennych spodniach i wyprasowanej koszuli. Może wcale nie miał staromodnego żelazka na prąd, ale starał się robić takie wrażenie.

- Nie zauważyłam żadnej sceny - odparła złomiarka. - Coś strasznie cuchnęło, ale już się rozeszło. Tutaj ma pan tego hyundaia, co panu pokaleczył robotników, a tutaj awokado. Zgodnie z umową skrzynka i złom dla mnie. Oraz bateria.

- Chodźmy do ogródka - zaprosił gospodarz. - Dostanie pani zapłatę i pokwitowanie. Piwa? Wina? Wygląda na to, że dzięki pani uniknąłem oszusta.

„Plantator” - ja cię nie mogę, pomyślała Jagoda z rozbawieniem - „pewnie się naczytał

przedkryzysowych romansów”.

- Coś bezalkoholowego, jeśli można. I wody dla konia.

\*\*\*

To był solidny akumulator, trzydzieści tysięcy miliamperogodzin, z gniazdkiem i możliwością przyłączenia paneli solarnych. Sprawdziła na miejscu – prawie nieużywany, wyczerpywał się powoli, zgodnie ze specyfikacją. Jagoda zatrzymałaby go na własny użytek, ale potrzebowała baterii na wymianę. Poszukiwała rzadkiego towaru, którego nie dało się kupić za lajki, tracące na znaczeniu w miarę, jak internet na świecie fragmentował się i wygasał.

Morty był gnojem, ale w jego potwarzach tkwiło ziarno prawdy. Jagoda rzeczywiście potrzebowała farmaceutyków – chociaż nie takich, jak sądził – i wiedziała, że to uzależnienie prędzej czy później doprowadzi ją do śmierci. Kiedyś leki w końcu przestaną docierać do Warszawy.

Miała nadzieję, że skurwiel zginie podczas wjazdu do Złotych Tarasów. Chociaż pewnie tylko się chwalił, jak zwykle. W przeciwieństwie do Galerii Mokotów nigdy ich nie oczyszczono z mechanicznych pracowników i ochroniarzy, poza tym wszyscy wiedzieli, że w okresie pandemii grypy syberyjskiej na terenie Dworca stacjonowało wojsko. Nikt zdrowy na umyśle tam nie wchodził. Rejon Centralnego, podobnie jak większość handlowego Śródmieścia, był opustoszałym, betonowym, nie nadającym się do życia piekłem.

Ale – ach! Te legendarne skarby. Niesplądrowane sklepy z elektroniką. Drogerie. Apteki...

Dotarła na osiedle godzinę później. Matka mieszkała w jednym ze starych niskich bloków z wielkiej płyty. Cały Natolin powyprowadzał się z wieżowców, podobnie zresztą było w innych częściach miasta. W dziesięciopiętrowcach zajmowano tylko parter z ogródkiem, ewentualnie pierwsze piętro. Dzięki ociepleniu bloków połączenia ścian jakoś się trzymały, przynajmniej tutaj, na Natolinie. Teraz nie było już centralnego ogrzewania, ale zimy też nie było, więc wychodziło na jedno.

Zresztą to nie tak, że w Warszawie brakowało pustych mieszkań.

Gdzie okiem sięgnąć, na balkonach i w ogrodach lśniły panele solarne jak wachlarze lub egzotyczne kwiatostany, składane albo mocowane na stałe, na ruchomych wysięgnikach albo przymocowane do balkonowych dachów. Na niegdyś trawnikach starannie podzielonych między ważniejszych mieszkańców na ogródki, stały szopy z narzędziami, poidła dla koni i osłów oraz kurniki, rosły warzywa i rzucające miłosierny cień drzewa oliwne. Zostało kilka rajskich jabłonek, ale większość wykarczowano – już nie owocowały, odkąd temperatury zimą przestały spadać poniżej zera.

Tuż pod blokiem, gdzie mieszkała matka Jagody, znajdował się długi stojak dla rowerów, przepełniony wszelkiej maści złomem na dwóch kółkach oraz półotwarta wspólna stajnia. Jagoda przywiązała konia przy dwóch innych hucułach i jednym osłem. Rzuciła szczerbatemu chłopakowi jedno awokado, żeby popilnował. Później dała dwie sztuki osiedlowym gangsterom, którzy przysiedli na cembrowinie starej piaskownicy. Chłopak z wygoloną głową i w sztucznych skórkach, dziewczyna ze trzy razy młodsza od niej i z brzuchem. Kilka staruszek przypatrywało się złomiarce z ciekawością, gdy wchodziła na klatkę ze skrzynką awokado w sakwie przewieszanej przez ramię.

Jagoda udawała niewzruszoną jak Arnold Schwarzenegger w „Terminatorze”, filmie, który kiedyś

pokazał jej tata. Gdy jednak stanęła przed drzwiami mieszkania, poczuła, że mięśnie ramion znów jej tężeją. Matka nie miała stalowych chwytaków ani laserów w oczach, ale to wśród morderczych robotów złomiarka czuła się swobodniej.

Nacisnęła klamkę – otwarte. Od wejścia uderzył ją smród odpadków. Westchnęła. Nie miała czasu ani ochoty sprzątać matce, ale ten dzieciak, który powinien tu przychodzić, nieszczególnie się spisywał. Jagoda nie zdziwiłaby się, gdyby nie wytrzymał; zatrudniła chłopaka z Imielina, bo z osiedla nikt nie chciał się zgodzić. Wszyscy znali Paulinę.

Śmieci i zmięte ubrania piętrzyły się pod drzwiami. Jagoda poświęciła przelotne spojrzenie obrazkom na ścianach, głównie oprawionym wydrukowi selfie matki (z czasów, gdy jeszcze się dało wyszabrować tusze do drukarki). Paulina w długim, czarnym płaszczu, jeszcze młoda, na tle Pałacu Kultury. Na innym zdjęciu z małą Jagodą na wakacjach, obydwie robiące dzióbek do obiektywu. Kolejna fotka: matka na jakimś raucie, z kieliszkiem wina. Teraz stała przed lustrem, przymierzając nową kieckę, jeszcze ometkowaną. Z jakiego magazynu ją wydobyto, czort raczy wiedzieć, ale wyglądała zupełnie świeżo. Paulina pewnie dała za nią tygodniowy utarg lajków.

Grunt, że matka jest w humorze.

- Mam dla ciebie awokado.

- Postaw w kuchni - Paulina obróciła się na jednej nodze i upozowała, wypinając pupę do lustra. - Awokado. Przynajmniej zdrowe kalorie. Jadłabyś czasem coś lepszego niż tę żywność z chemikaliami.

Cała matka. Na bazarze ceny prosa i sorgo wzrosły dwukrotnie, za tę skrzynkę awokado komu innemu niż Jagoda zasugerowano by kupno cegły, ale Paulina wciąż jej wypominała zgarnięty z kabackiego Lidla stos konserw i zupek chińskich na ciężkie czasy. Kto teraz w ogóle używa słowa „kaloria”? Jest jedzenie, to się je.

- Przytyłaś tak, że wyglądasz starzej niż ja - dorzuciła matka neutralnym tonem. I, jasna cholera, chyba mówiła prawdę. Paulina załapała się jeszcze na przedkryzysową medycynę estetyczną i leki przeciwstarzeniowe, grypą nigdy się nie zaraziła (złego diabli nie biorą, mówiła babcia), urodziła się w świecie czystszy i lepszym, gdzie lata były zielone, a zimy białe. Dobiegała osiemdziesiątki i chociaż resztki botoksu dawno ulotniły się z jej twarzy, a syntetyczny kolagen ostatecznie się rozłożył, w słabym świetle można by ją pomylić z kobietą o trzydzieści lat młodszą.

Jagodzie ostre słońce wypaliło na twarzy kaniony zmarszczek mimicznych. Wieloletnie zmagania się z chorobą zostawiły rozpulchnioną, tu i ówdzie wiszącą skórę. Przerzedziły jej się posiwiałe na skroniach włosy (Paulinie też, ale nosiła bujną, czarną perukę). Po rodzinie ojca odziedziczyła przysadzistą budowę. „Baba ze wsi” - mówiła matka.

Dłoń Jagody odruchowo powędrowała do pasa, na rękojeść maczety. Arystokratka Paula drona nie zajebie, prędzej się rozsypie. Szlachetny kwiatek z dwudziestego wieku, rączki jej odpadają od prania i sprzątnia, zgaśnie ze starości lub nudów. Albo z głodu, jeśli przeżyje swoją córkę. Bo mimo nowych kiecek z poliestru, którym się udało nie zapleśnieć w magazynach, od paru lat Paulina nie mogła zawisnąć na nikim innym. Nawet nie dlatego, że już ją wszędzie znano. Po prostu kobiety żyły dłużej i kandydaci jej wymarli.

- Zawsze ładnie wyglądasz - powiedziała Jagoda. Komplementy matkę cieszyły. Dziś była doktorem Jekylllem; zadbana, elegancka, nieco złośliwa, ale to się przecież zdarza ludziom z jej pokolenia. Wręcz promieniowała dobrym samopoczuciem i to trochę zaniepokoiło złomiarkę. Co ona znowu nawywijała?

Tymczasem Paulina zainteresowała się skrzynką, która wciąż leżała w przedpokoju. Kucnęła przy owocach, krzywiąc się i oglądając jeden za drugim ze wszystkich stron.

- Samego awokado przecież jeść nie będę - zamarudziła wreszcie.

Jagoda stłumiła westchnienie.

- Wymienisz sobie.

- Wymienię, wymienię. Za skrzydło zdechłego kurczaka i papryki z doniczki od Kryśki z trzeciego piętra.

- Na bazarze wymienisz - powiedziała Jagoda. Matka się targowała, to źle wróżyło. Z drugiej strony, jeśli mogła dostać od córki coś więcej, zawsze próbowała.

- Kochanie, starą kobietę wysyłasz na bazar, żeby handlowała awokado? - jęknęła Paulina. - Tam są zbóje, bandziory...

- Przecież sami znajomi...

- Na żebry własną matkę puścisz. Ludzie mówią, że poszłaś zapolować na drona przy Wąwozowej. Rozumiem, że już po nim.

Jagoda zacisnęła usta. Podejrzenia skryształizowały się w pewność.

- Mamo... czy dobrze rozumiem, że skończyły ci się lajki? Kiedy ostatnio pokazywałaś mi vloga, widziałam ich tam jeszcze całkiem sporo. Popularność utrzymujesz na tym samym poziomie, sklep jeździ trzy razy w tygodniu, nie przejadłaś tego. Coś sobie jeszcze kupiłaś oprócz tej kiecki.

- Przecież wiesz, że kiecki to inwestycja - zareplikowała matka.

Jagoda westchnęła. Trudności w rozmowach z Pauliną polegały na tym, że na wszystko miała dobre uzasadnienie. Nie sprząta, bo brakuje jej sił (kiedy była młodsza, też nie sprzątała, przyzwyczajona, że robią to za nią inni). Kompulsywnie kupuje odzież i wszelkiego rodzaju starożytne pierdolety, jakby cywilizacja nigdy się nie skończyła, bo jej to potrzebne do vloga. Ekonomia lajków, wprowadzona na wzór chińskiego kredytu społecznego, nadal się trzymała, chociaż rzadsze towary, zwłaszcza zagraniczne, dawno wypadły z obiegu. Podstawowe dobra dostarczano za pośrednictwem objazdowych sklepów - elektrycznych ciężarówek albo kurierów rowerowych. Istniały magazyny (strzeżone i obsługiwane przez ludzi, a nie drony) oraz manufaktury. Świat zmałał, skarłał i rozpadł się na nie pasujące do siebie kawałki, ale wciąż działał.

Resztę potrzeb załatwiał handel w szarej strefie, wymienny i za juany; trafiała tam część towarów ze sklepów i wszystko, co się dało wyhodować, wyprodukować, przemycić zza granicy albo ukraść we własnym zakresie. Niektórzy, jak Jagoda, kupowali tylko na bazarach. Coraz mniej ludzi w ogóle miało Internet, no i młodsze pokolenie nie interesowało się mozolnym zdobywaniem lajków. Tablety i notebooki żarły prąd, który dało się wykorzystać inaczej. W gniazdkach dawno go już nie było, cała Warszawa polegała na jednej elektrowni termiczno-solarnej w Siekierkach, którą ukończono przed kryzysem, i tej elektryczności musiało wystarczyć do obsługi podstawowych miejskich systemów - wody, kanalizacji. Jeśli ktoś chciał czegoś więcej, instalował prywatne panele solarne i zawsze się wybierało, co podłączyć. Ostatnie zapasowe baterie wyzionęły ducha przed dekadą, więc do przenośnej komunikacji lepiej nadawało się bardziej ekonomiczne radio. Umierający Internet był rozrywką starych ludzi.



- Są granice inwestycji, ale ja nie o tym. Co kupiłaś?

- Coś, co mi podniesie ruch co najmniej pięciokrotnie - odparła Paulina. - Powinnaś się zainteresować. Ta twoja zabawa w Rambo jest nieodpowiedzialna, nie zapewnia ci bezpieczeństwa finansowego. Musisz się zacząć rozglądać za czymś na starość. Albo dobry interes, jak mój, albo inny rodzaj stabilizacji...

Jagoda poczuła, że na policzkach wykwitają jej rumieńce gniewu.

- Matka, nie wyjdę za Janickiego. Rozmawialiśmy już o tym.

- Ależ nikt ci nie każe zaraz za niego wychodzić. Znam się na takich rzeczach, wiem, że mu się podobasz...

- Skończ temat.

- Ależ coś ty taka przewrażliwiona? Chodź, zobaczysz, jak się robi grube hajsy.

Jagoda poszła za nią do pokoju dziennego pełna złych przeczuc. Vlog Pauliny był chyba jej dziesiątym doskonałym interesem. Wszystkie pozostałe zaczęły się z rozmachem i umarły cichutko, gdy pomysł się znudził, a biznes zaczął wymagać pracy. Dopiero moda retro okazała się strzałem w dziesiątkę. Co parę dni tysiące starszych pań na kwadrans wracało do bogatego i lśniącego świata swojej młodości. Lajki sypały się hojnie. Jagoda z początku odetchnęła z ulgą, sądząc, że matka wreszcie zapewniła sobie emeryturę. Ale w życiu nic nie było takie proste.

Smugi światła wpadały do mieszkania, przedzierając się przez gąszcz paneli słonecznych rozstawionych na balkonie. Okablowanie - splecione, czarne i lepące się od kurzu - docierało do niedużego stosu akumulatorów. Niedaleko, bo i pokój był niewielki, stał stolik z podłączonym laptopem, kamerką i mikrofonem - wszystko z tych półprofesjonalnych i energooszczędnych.

Dookoła porozstawiane na stołkach i szafkach przedmioty - porcelanowy serwis do herbaty, nigdy nieużywany mikser kuchenny, oszklone obrazki z motywacyjnymi cytatami, kilka par ciemnych okularów, kapelusze, buty, szaliczki, torebki, zepsute elektroniczne gadżety, zmięte ubrania. Skrzyneczka na makijaż: szminki, podkłady, pudry (Jagoda nawet się nie orientowała) razem z pędzelkami i gąbkami, wszystko rozrzucone po kawowym stoliku wciśniętym pod ścianę. Fioletowy cień do powiek rozdeptany na podłodze, szminka, która potoczyła się pod akumulator i tam rozpuściła. Właściwie to jeszcze nie był syf, a jedynie twórczy rozgardiasz, który rozczulał, dopóki człowiek sobie nie uświadomił, że Paulina tak samo postępuje z odpadkami kuchennymi.

A pośrodku, na honorowym miejscu, przewieszzone przez krzesło leżało czarne futro z norek.

- Masz pojęcie, jak to było trudno dostać? Ile to kosztowało? - Paulina dumnie rozpostarła futro przed córką, a potem zarzuciła je na ramiona. - A jak doskonale zachowane! Ma dziurę od moli z tyłu, ale wyczyszczone, i nie będzie widać.

- Mamo... - zaczęła Jagoda i zrezygnowała.

- No co? Nie podoba ci się? - w głosie matki zabrzmiały twardsze nuty. - Takie stare futro jest bardzo ekologiczne. Czysty recykling.

- Mamo, ale zim nie ma... - Złomiarka potarła skronie.

- Przecież nie będę w nim chodzić - oburzyła się Paulina. - Ale trochę mnie kosztowało i człowiek,

który mi je przekazał, dał do zrozumienia, że oprócz lajków bardzo liczy na twój nowy złom, więc...

- Mój nowy złom - powtórzyła Jagoda mechanicznym tonem. - Sprzedałaś drona, zanim go ustrzełam.

- Oczywiście nie wchodzi w grę, żebym zwlekała z zapłatą. Rozumiesz, jacy to ludzie.

- Mamo, wiesz, że muszę jeszcze sobie kupić lekarstwa i amunicję?

Paulina rzuciła jej złe spojrzenie.

- Ale ty mi tutaj nie kłam, dziecko - podniosła lekko głos. - Wiem, że masz pieniądze. Janicki obiecywał nagrodę.

- Mamo, ale...

- Masz pojęcie, że dla ciebie robię to wszystko? - matka mówiła coraz głośniej. - Dla ciebie rozwijam interes, który utrzyma nas obie. Żresz te wszystkie puszkę i chińskie świństwa, a gdybyś się odżywiała jak należy, już dawno byś się wyleczyła. Płacisz dobrymi bateriami za stare leki, założę się, że bardziej cię trują, niż pomagają. Włóczysz się nie wiadomo gdzie jak jakaś dziwka. Czy tak cię wychowałam? Na dziwkę? Nie wychodź stąd! Nie uciekaj! Nie skończyłam, mam ci jeszcze sporo do powiedzenia! Tak mnie traktujesz? Własną pierśią...

Jagoda wyszła z mieszkania, trzasnęła drzwiami i zbiegła po klatce schodowej, jakby gonił ją sam diabeł.

\*\*\*\*\*

Po powrocie do siebie Jagoda od razu poszła do łazienki, zmyć z siebie pot i kurz pod lodowatym prysznicem. Mieszkała na pierwszym piętrze w mokotowskiej wielkiej płycie; osiedle nie różniło się wiele od tego natolińskiego, ale poprzez bliskość dawnego Mordoru i Galerii Mokotów, największego bazaru na południu miasta, przyciągało innych lokatorów. W okolicy rezydowało nadprogramowo dużo rozmaitych geszefciarzy, macherów i zakapiorów, a Jagoda w naturalny sposób wtapiała się w tę populację.

Zostawiła drona w pokoju, który służył jej za warsztat. Zwykle od razu przystąpiłaby do złomowania zdobyczy: wyłuskiwania baterii, elektroniki pełnej rzadkich metali, paneli fotowoltaicznych i mniej skomplikowanych części, śrubek oraz kawałków metalu, które znajdowały zastosowanie w pokryzysowej codzienności. Ale teraz jej się nie chciało. Skoro Paulina odsprzedała drona osiedlowym oszustom, niech go sobie sami złomują. I tak nie docenią, a jeszcze się przypieprzą, że dwie baterie rozbite kulami. Matka postawiła ją przed wyborem dokonany, gang nie weźmie z powrotem futra, po złom pójda prosto do Jagody. Mogłaby wejść z nimi na wojenną ścieżkę, ale po co?

Prze pocone ciuchy rzuciła do miednicy z wodą. Z balkonu ściągnęła wysuszoną koszulkę, stanik i gacie, nie przejmując się, że sąsiedzi z naprzeciwka zobaczą ją nago. Kogo jak kogo, ale jej nikt ceniący sobie własną skórę zaczepiać nie będzie. Uznała, że spodnie jeszcze dadzą radę. Mydło też swoje kosztowało.

Postępek matki komplikował sprawy. Może uda jej się stargować lek tak, żeby akumulator wystarczył. Jedna bateria na trzydzieści tysięcy to lepsza rzecz niż sześć takich baterii po pięć. W ostateczności się zadłuży. Była dobrą klientką. Matka w dalszym ciągu uważała, że gdyby Jagoda żywiła się bezglutenowo, jej tarczycza odrosłaby w magiczny sposób. Złomiarka odruchowo dotknęła blizny na szyi. No nie, cudów nie ma.

Rozmasowała skronie palcami. Zaczęła sobie tłumaczyć, że w gruncie rzeczy nie miała w życiu aż takiego pecha. Inni ludzie też opiekowali się starymi rodzicami. Takimi, którzy tracili pamięć, albo chorowali na raka. Jej matka była zdrowa, tylko nieodpowiedzialna, chytra i wredna. Nie, nazwijmy to po imieniu, toksyczna jak barszcz Sosnowskiego. Robiła... jak by to powiedział ktoś przedkryzysowy? Robiła czarny PR całemu rodzajowi żeńskiemu. Jak jej matka i babka przed nią w nieprzerwanym łańcuszku głęboko wdrukowanych schematów emocjonalnych. Jagoda świadomie nigdy nie szukała partnera, bała się, że zatrute ziarno tkwi gdzieś w jej psychice i tylko czeka, aż padnie na odpowiedni grunt.

„Ale by żyć, trzeba jeść. I dlatego potrzebuję zleceń” – skonstatowała. – „Jak najszybciej i, w miarę możliwości, jak najdalej od domu”.

\*\*\*\*\*

Wieczorami w Galerii Mokotów rozbłyskały światła. Piranie, najsilniejszy gang w tej części dzielnicy, kontrolowały nielegalny agregat spalinowy (policja, z rzadka urządzająca naloty na bazar, otrzymywała regularne łapówki w świnkach morskich, kurczakach i bateriach). Dzięki nim Internet działał w nocy, bo większość stacji przekaźnikowych miała akumulatory zajebrane do cna i funkcjonowała tylko wtedy, gdy pobierała energię słoneczną. Zimą, to znaczy w „porze deszczowej”, przekaźniki milczały przez całe tygodnie. Chyba, że ktoś się nimi zaopiekował i tak jak tutaj zamontował inne źródło zasilania.

Poza tym było w galerii trochę sztucznego oświetlenia. Niewiele, bo jednak powszechnie zadowolano się lampami olejowymi i w całej olbrzymiej przestrzeni cuchnęło kopciem.

Z daleka budynek robił upiorne wrażenie. Po kryzysie, późniejszej likwidacji pozostawionych samym sobie robotów i rozszabrowaniu wszystkiego, co się dało zjeść lub zrecyklować, galeria straszyla ostrymi krawędziami szkła przytwierdzonego wciąż do rusztowania. Brakujące szyby uzupełniono tylko w niektórych miejscach, czym się dało: deskami, folią, pleksi. Latem było tutaj gorąco jak w szklarni, zimą wiało. Ale lepsze to niż targ na powietrzu, narażony na deszcz i okazjonalne huragany.

No i wciąż działały toalety, przynajmniej na parterze. Nie były, oględnie mówiąc, zbyt czyste, ale zimna woda płynęła, a kanalizacja funkcjonowała. Podobnie jak w większości zamieszkałych bloków. Miasto działało na systemach podtrzymywania życia – czy to dzięki resztkom służb cywilnych, czy też gangom. I tak miało zostać do końca świata albo do wyschnięcia Wisły – w sumie wychodziło na to samo.

Jagoda przeciskała się między straganami. Rano na bazarze handlowano żywnością: warzywami i owocami prosto z ogródków działkowych, mięsem smarowanym formaldehydem, żeby niegniło, żywymi kurczętami, świnkami i gołębiami w klatkach, workami prosa, sorgo i fasoli. Przyjęło się nazywać ten poranny handel targiem śniadaniowym (starsi uważali to określenie za ironiczne, dla młodszych było po prostu nazwą). Teraz zostały po nim tylko wonie zaschniętej krwi i rozkładających się odpadków. Bazar sprzątano kilka razy w miesiącu, żeby nie zapowietrzył się dokumentnie, ale nie

codziennie.

Po zachodzie słońca do Galerii na skuterach, wózkach zaprzężonych w osły i konie oraz rowerach z przyczepami przyjeżdżali rzemieślnicy. Wszechobecny odór palonego oleju mieszał się z zapachem smaru tudzież spawanego metalu. Z biegiem lat Jagoda widywała na targu coraz więcej domowych wyrobów, a coraz mniej recyklowanej elektroniki i przedkryzysowych dóbr codziennego użytku. Zaczynały się pojawiać towary niegdyś zabronione – rękodzielnicze wyroby skórzane, nawet wełna przywieziona ze wsi. Nikt nie wypominał młodym, że to nieekologiczne, a zresztą i tak by nie posłuchali.

Doktorek stał w swoim zwykłym miejscu przy nieruchomym humanoidalnym robocie, niemal trzymetrowym gigancie ustawionym tutaj przez nieznanego złomiarza w charakterze trofeum, dekoracji lub żartu. Maszynę dawno wypatroszono ze wszystkiego, co nadawało się do użytku. Został czarny szkielet z nienadającego się do obróbki włókna węglowego i straszyl przechodniów.

- Fibonacci! Cześć.

Zwinął peta, przypatrując się złomiarce spod oka. Źle wyglądał. Postarzał się od ostatniej wizyty w Warszawie, schudł jeszcze. Siwe włosy okalały łysą czaszkę jak wyliniała, przetłuszczona etola. Zaczynał wyglądać na te swoje blisko osiemdziesiąt lat.

- Spodziewałem się ciebie wczoraj.

- Dziś miałam robotę – odparła, wyjmując z plecaka baterię. – Co ty na to?

- Mało – skrzywił się, ale baterię do rąk wziął. – Nie po to się tłukę po dziurawych drogach tego przeklętego kraju. Dawaj, co tam jeszcze przyniosłaś.

- Mało? – Jagoda założyła ręce. – Zweryfikuj ją chociaż. Trzydzieści tysięcy w jednym kawałku. Chodzi jak złoto. Nie wyjmowałam jej z żadnego złomu, to magazynowa nówka.

- Powiadasz. – Fibonacci mrużył oczy i oglądał przez lupę numery seryjne. Potem wyjął czarną skrzynkę z kablami o wszelkich możliwych rodzajach wtyków. Podłączył baterię. Na skrzynce zamigotała seria zielonych świateł. – Ciekaw jestem, gdzie to dostałaś, dziewczyno. Ta baterijka ma na sobie ludzką krew, wiesz o tym?

- Wydaje mi się, że raczej czysta...

Prychnął.

- Wy, młodzi, myślicie, że metafora to takie przedkryzysowe żarcie. Pod Sochaczewem był nieruszony magazyn. Weszło po złom pięciu takich jak ty, pewnie jeszcze młodszych. Przeżył jeden. Pchnął na rynek cały kontener identycznych. Potem strzelił sobie w łeb. Drugą taką już dziś widziałem, chwilowo nie są rzadkością.

Jagoda na moment straciła rezon.

- A skąd ty to wiesz? W Internecie nic nie było...

Westchnął.

- Zapomniałem, z kim rozmawiam. Włącz czasem radio i posłuchaj tej waszej stacji. Wiem, po co ci to, polecają cię w całej stolicy, o zlecenia nie musisz się martwić. Mała, świat ci ucieka. Chwila

moment i wysiadają cię z zawodu osiemnastoletni analfabeci, którymi tak gardzisz. Supermeni, czy jak im tam...

- Avengersi.

- Wszystko jedno. Nienawidziłem tego amerykańskiego gówna dla półgłówków. Lyncha widziałas kiedyś? Almodóvara? To było kino.

- Halo, Ziemia do doktora. Lekki. - Jagoda wyciągnęła rękę.

Popatrzył na nią z lekką pogardą.

- Powiedziałem już. Za samą baterię nie dostaniesz. Będę musiał poczekać, zanim to wymienię.

Zacisnęła zęby i ponownie sięgnęła do plecaka. Plik plastikowych juanów ujrzał światło. Fibonacci sięgnął po banknoty, przewertował je kciukiem.

- Słusznie - powiedział. - Coś jeszcze?

Jagoda nie wytrzymała.

- Odbiło ci? - warknęła. - Nigdy tak nie zdzierasz. Pokaż lekki.

Napotkał jej spojrzenie. Odruchowo stulił ramiona i złomiarka prawie go pożałowała. Przy starych ludziach pełnych przedkryzysowej dumy, widzących w niej dziecko - chociaż dawno przekroczyła czterdziestkę - zapomniała czasem, że ze swoją budową i muskulaturą, obwieszona bronią może budzić respekt.

Pochylił się nad torbę pełną białych pudełek, wyszperał lewotyroksynę - Jagoda kątem oka złowiła nazwę lekarstwa. Jedno? Jak to - tylko jedno?

- Fibonacci, ty ze mną nie żartuj.

- Tyle mam.

Jagoda wzięła pudełko do ręki. Jej serce wyczyniało harce jak małe zwierzę w klatce, po kręgosłupie przebiegł zimny dreszcz.

- Jak to: tyle masz?

- Jakoś zdobędziesz resztę. - Wzruszył ramionami. - No, nie wiem, poradzisz sobie.

- Doktoru - złomiarka odkaszlnęła. Czytała napis raz po raz, nie wierząc w to, co widzi. - To są tabletki po siedemdziesiąt pięć mikrogramów.

- Takie były.

Krew uderzyła jej do głowy. Złapała go za koszulę.

- Gówno były. Chcesz mnie ochujać. Ochujać mnie na lekach!

- Dziecko, spokojnie. Proszę.

- Tym to sobie mogę nos upudrować! - wyszczała. Siedemdziesiąt pięć. Brała trzy razy tyle. To

pierdolone pudełko wystarczy jej na miesiąc. Dwa, jeśli zetnie dawkę. Tyle że nie mogła tak długo funkcjonować, jeszcze trochę, a zacznie spać całymi dniami. Wreszcie leki się skończą. Wiedziała, co ją czeka później – drastyczne spowolnienie metabolizmu, zaburzenia neurologiczne, na koniec śpiączka i śmierć... – Latasz do Frankfurtu czarterem jak jakiś szejk arabski, doktorat tam robiłeś, i w chuja ze mną lecisz!

- Puść... - Oczy wychodziły mu na wierzch. - Proszę.

Puściła. Cofnęła się, oddychając ciężko. Wokół zaczęli przystawać gapie.

- Zastanawiam się czasem – Fibonacci potarł szyję, na której pojawiały się różowe pręgi, odcisnięte od kołnierzyka – czy wy rozumiecie sformułowania, których używacie. Halo, Ziemia. Szejk arabski. Nieważne... Kłamałem. Nie skończyłem tego doktoratu we Frankfurcie. Robiłem go w Łodzi. Wcale nie latam za granicę, prywatnych linii dawno nie ma. Jestem zwykłym detalistą, leki szmuglują nam mrówki. A ostatnio kontrola się zrobiła ostra i nie wpuszczają Polaków. Nie mam lewotyroksyny. Może będę mieć za pół roku, a może nie. Znajdź sobie innego dostawcę.

Odetchnął, kaszlnął.

- Pomyśl, że dałem ci trochę czasu. I docień, że wybrałem ciebie.

\*\*\*\*\*

Prawdopodobnie znowu kłamał.

Ludzie z tego rocznika kłamali nawykowo, żyli autoprezentacją. Wtłoczono im w głowy, że pozory są cenniejsze od faktów i chociaż zmieniający się świat brutalnie udowodnił, iż fakty jednak mają znaczenie, nie potrafili się tego oduczyć. Doktorek zapewne odstawił rzewne przedstawienie, a potem poszedł sprzedać lewotyroksynę po zawyżonej cenie kolejnemu klientowi. Nie wierzyła, że to ostatnie pudełko. Nawet rozważała, czy mężczyzny nie okraść, ale szybko znikł w tłumie, a Jagoda ochłonęła i zaczęła mieć skrupuły.

Była za stara. Zbyt delikatna. Ktoś dwie dekady młodszy z punktu rąbnąłby Fibonacciego po łbie, zabrał torbę i dał dyla. A ona nie umiała, chociaż od tego zależało jej życie.

Zostało jej kilka miesięcy. I co teraz?

Były inne bazyry. Inni detaliści.

A co, jeśli doktorek jednak mówił prawdę? Jeśli uszczelniono granice? Wtedy nie poratuje jej żaden nowy dostawca. Zresztą większość z nich nawet nie wiedziała, co to jest lewotyroksyna, rozumiano prostsze potrzeby – antybiotyki, przeciwbólowe, czasem insulinę albo leki na serce.

Leżała na wersalce do późna w nocy przykryta zsuwającym się prześcieradłem. Przez uchylone okno wpływało powietrze nie różniące się temperaturą od tego wewnątrz. Jagoda nie miała wiatraków ani klimatyzacji. Zużywały energię, zakazano ich jeszcze przed kryzysem, co niewiele pomogło. Za późno, za mało. W pokoju stała miska z praniem i parowała; trudno powiedzieć, czy od tego robiło się chłodniej, czy tylko duszno.

Jagoda dźwignęła się o drugiej nad ranem, z gęsią skórką mimo upału; poszła do kuchni i nalała sobie wody z kranu. Rdzawy płyn miał metaliczny posmak przywodzący na myśl krew, ale przynajmniej nie ryzykowała sraczki. Przemyła twarz, wylała trochę wody na głowę, dokonała wysiłku woli, żeby wyrwać się z kręgu czarnych myśli. Zamrugała. Przed oczami miała CB radio, które sama skonstruowała ze złomu. Stało na kamiennym parapecie, plątanina kabelków i elektroniki upchnięta w otwartym naczyniu żaroodpornym (była dumna z tego pomysłu – gdyby nastąpiło zwarcie, ogień ograniczy się sam). Kable prowadziły do wielkiej baterii doczepionej do panelu fotowoltaicznego za oknem, jednego z tych rozkładanych, w formie kwiatostanu, który służył również za antenę. Patrzyła na rozwiązanie, a rozwiązanie patrzyło na nią.

Włączyła radio, pokręciła gałkami. Mało kto pracował o tej porze i ruch na pasmach nie oszałamiał. Kilka powtarzających się sygnałów, domowa stacja z przedkryzysową muzyką filmową, ostrzeżenia pogodowe, pobliska drużyna złomiarzy nawołująca się na piwo, a ściślej mówiąc, napój na bazie sorgo udający piwo. Nieważne. Jagoda przeszukiwała eter, nasłuchując rozmów w slangu, którego nawet zbyt dobrze nie rozumiała – zmieniał się błyskawicznie, a ona zwykle pracowała solo. Po kilku minutach odsiała z tła złomiarские pasma i z szumów oraz zapętlonych ogłoszeń wyłowiła to, czego szukała.

Avengersi byli młodą ekipą, chociaż wzorem starszych przyjęli nazwę fikcyjnych postaci sprzed kryzysu. Jagoda nie pamiętała, skąd się ten zwyczaj wziął, ale złomiarze – zwłaszcza młodszy od niej o dekadę, którym pandemia zakończyła dzieciństwo – przybierali role bohaterów pochodzących z kultury starego świata. Jagoda nie wiedziała zbyt wiele o tej drużynie, od dłuższego czasu pracowała solo i co jakiś czas tylko konstatowała, że średnia wieku w zawodzie wciąż się obniżała. Ale mieli ponoć na koncie kilka udanych wejść na przedmieściach i zaczątki famy.

Już wcześniej podejrzewała, że Morty wcale nie dostał osobistego zaproszenia. No gdzieżby. W ostateczności mógł się wcisnąć do ekipy, która jeszcze go dobrze nie poznała, jeśli odpowiednio długo błagał. O ile szukali mięsa armatniego do takiej brawurowej akcji, jak wjazd do Złotych Tarasów. Samobójczej akcji, której nie podejmie się nikt doświadczony.

Chyba, że nie ma innej opcji.

Przedkryzysowy świat łykał lewotyroksynę garściami. Czterdziestolatki w ciąży regulowały sobie hormony, żeby rodzić równie zdrowe dzieci, co kobiety dwie dekady młodsze. Leczone łagodną niedoczynnością tarczycy, którą kiedyś uznawano za objaw starzenia się. Wreszcie wskutek smogu i zanieczyszczenia wody plastikiem ludzie zapadali na choroby z autoagresji i nowotwory tego małego, delikatnego gruczolu. Jagoda nie była wyjątkowa.

Od lat trzydziestych przyjmowała syntetyczny hormon, wiedziała o nim wszystko i dziękowała losowi, że przed pandemią i zapaścią gospodarczą na rynek zdążył jeszcze trafić lek nowej generacji. Taki, którego stabilność liczyła się w dekadach, a nie w miesiącach. Odkąd splądrowano wszystkie łatwo dostępne apteki w Warszawie zamawiała go z zagranicy. Ale niedługo po kryzysie radziła sobie inaczej. Można powiedzieć, że właśnie dlatego wybrała zawód złomiarki.

Świat zmniejszał się i fragmentował, a czas zataczał koło. Jagoda wracała do korzeni. Może to była jej ostatnia wyprawa, ale przynajmniej odejdzie w pełni sił i chwały, zamiast gasnąć we własnym łóżku.

O, i było tutaj, klasyczne *looking for a group* zapuszczone na loopa. Zapisała hasło (Befsztyk 666, oni chyba rzeczywiście mieli po osiemnaście lat) i adres skrzynki kontaktowej. A później, czując, że ucieka z niej para, mięśnie tracą napięcie, a oczy same się zamykają, wróciła na wersalkę i poszła w kimę.

Z wyjątkiem krótkiego przebudzenia na tabletki i siusiu spała do południa.

\*\*\*\*\*

Dwa dni później Jagoda zatrzymała się na półpiętrze, wyrównując oddech. W tej chwili bardzo żałowała, że odpowiedziała na zgłoszenie Avengersów, znalazła ich człowieka na osiedlu i uzyskała adres grupy. Na pewno Fibonacci skitrał w tej swojej przepastnej torbie więcej leków. Należało go obrabować, a nie drałować na piechotę na dziesiąte piętro mokotowskiego mrówkowca. Jasne, miała dobry refleks i solidną muskulaturę, ale też prawie pięćdziesiątkę, nadwagę i od lat suplementowała hormony tarczycy. Co za tym idzie, pod względem wydolności aerobowej nie dorównywała dwudziestolatkom.

Stark Tower. Też sobie, kurwa, wymyślili.

Ciekawe, czy Morty dał radę wleźć na górę. Jeśli tak, cierpiał bardziej, bo – jak się dawniej mówiło – wszystkie eksperymenty wpakował w cwaniactwo. Jagoda uznała, że ta myśl jest bardzo pocieszająca, a przynajmniej wystarczająco, żeby zebrać dupę w troki i przeczłapać ostatnie trzy piętra.

Im wyżej wchodziła, tym bardziej zmieniał się otoczenie. Opuszczone budynki nie przeistaczały się w ruiny za sprawą czystej siły entropii, zazwyczaj ktoś im pomagał. Mieszkania pełne dóbr to smakowity kąsek – pierwsi padlinożercy zabrali się do pracy, gdy tylko wygasła epidemia i rozniosła się wieść, że wirus grypy pozostawiony na przedmiotach stracił zakaźność. W drugiej kolejności ofiarą złodziei padły kable w ścianach, a żeby się do nich dostać, trzeba skuć tynki. Przy okazji można się podpisać sprayem, wybić szyby albo w inny sposób dać upust niezgodzie na losy świata.

Ale nie tylko Jagoda uważała, że wchodzenie na dziesiąte piętro urąga ludzkiej godności, więc ostatnie kondygnacje splądrowano niedbale i bez entuzjazmu. Tu i ówdzie we framugach zostały drzwi, nie wszystkie ściany odarto do gołej cegły. Schody też były całe – na niższych piętrach w paru miejscach zniszczono lastryko. Zostało też kilka szyb, a te brakujące ktoś zastąpił deskami.

Spodziewała się, że ją przetestują. Zorganizowanie kwatery na ostatnim piętrze wieżowca nie było takie znowu głupie; ktokolwiek wejdzie na górę, zmierzy się z grupą wypoczętych przeciwników. Nie natknęła się jednak na żadne straże, za to zza drzwi jednego z mieszkań usłyszała głosy i dźwięki muzyki. Trochę ją to zbiło z tropu. Skoro nie pomyśleli o przewadze strategicznej, po co im to? Może po prostu szpanują tym, że trenują, biegając po schodach?

Zapukała i cofnęła się za ścianę.

Przez chwilę nikt nie odpowiadał. Potem drzwi uchyliły się i wyrzwał zza nich wysoki chłopak w kurtce ze sztucznej skóry pomalowanej na czerwono i w czarną kratkę. Nosił też gogle, takie zabawkowe, chwilowo zsunięte na czoło. Oraz czerwone spodnie od dresu.

- Kto tam? - rozejrzał się. Jagoda nadal stała przy ścianie, schowana za skrzydłem drzwi. - Dziwne, nikogo nie ma.

Złomiarka chrząknęła głośno.

- Wydaje mi się, że twój pajęczy zmysł nie działa - schowała pistolet i ujawniła się.



- Co pajęcze?

- Jesteś przebrany za Spider-mana. Człowieka pająka. Pajęczy zmysł?

Zza pleców chłopaka dobiegły stłumione chichoty.

- Że co? Spider-man to taki facet, który należy do Avengersów - powiedział chłopak. - Z przedkryzysowego filmu, no wiesz. Widziałaś kiedyś plakaty? Jesteś tak stara, że chyba je widziałaś, jak były jeszcze nowe? Kurwa, jesteś tak stara, że może nawet obejrzałaś film. To ciebie zapowiedział Pikachu?

- Zgaduję, że to nie ty wymyśliłeś nazwę grupy - mruknęła złomiarka. - Tak. Nazywam się Jagoda Kowalczyk. Uprowadzając pytania: Jagoda to prawdziwe imię, nie ksywa.

Z głębi mieszkania dobiegło cichutkie, pełne grozy „ja pierdołę”, a potem wszyscy umilkli. Chłopak poczerwieniał tak, że jego policzki prawie zrównały się odcieniem z kurtką.

- Pani nie żartuje? Naprawdę? - spytał po chwili wahania, już zupełnie innym tonem. - Może to pani udowodnić?

Tak się składało, że mogła. Z przyzwyczajenia i sentymentu nosiła w kieszeni kurtki dowód osobisty, plastikowy, bezwartościowy obecnie prostokąt. Wylegitymowała się, rozbawiona.

- To ona, Spidey, mieszka niedaleko. - Do drzwi zbliżyła się dziewczyna, ubrana bardzo skąpo, z włosami uczesanymi w dwa kucyki zafarbowane na różne kolory. Harley Quinn. Nie zgadzają wam się uniwersa, pomyślała Jagoda, ale nic nie powiedziała, żeby nie zbić ich z tropu jeszcze bardziej. - Znam ją. Mojej ciotki przyjaciółka sprzedaje jej fasolę na bazarze.

- Słyszeliśmy, że pani już nie pracuje - powiedział Spidey. - A przynajmniej rzadko, bo... e... straciła pani formę.

- Jeden taki próbuje mi popsuć biznes i rozpowiada plotki. Wpuściecie mnie do środka, czy będziemy kwitnąć w drzwiach?

\*\*\*\*\*

Jagoda spodziewała się meliny, ale w mieszkaniu panował mniejszy bałagan niż u jej matki. Dobrze, to znaczy, że byli zgraną drużyną, ustalili sobie jakieś reguły współżycia społecznego i się ich trzymali. Tu i ówdzie, na podłodze, materacach i stole w dużym pokoju, leżały części zamienne i narzędzia, a pod ścianą stało trofeum - obrany do czysta szkielec T-800. Tuż przy drzwiach zgromadzono puste butelki po piwie w celu wymiany na świeżo napełnione - jeden z ekologicznych nawyków, który przyjął się w populacji, prawda, że z konieczności. Pewnie mieszkali tu na stałe. Wodę mieli, ciśnienia w miejskiej sieci wystarczyło na zwykłe bloki mieszkalne, choćby i do dziesiątego piętra. Nawet chyba sobie gotowali, bo pachniało przypalonym sorgo. Że też im się chciało codziennie popylać po tych schodach. Ale taki trening rzeczywiście dobrze robił na formę. A zasięg radia i Internetu mieli znacznie lepszy.

Rozsiedli się na materacach wszyscy sześcioro - późne naście, wczesne dwadzieścia, chociaż Jagoda nie umiała zbyt dobrze ocenić ich wieku. Podobnie jak osiedlowi gangsterzy, typowe dzieci czasów

ocieplenia: ten z krzywicą, tamten z brakami w uzębieniu. Harley maskowała pod pudrem ślady po nadkażonej wiatrówce i chociaż Jagoda nie czuła się szczególnie inteligentna przy ludziach z pokolenia swojej matki, w tym pokoju pewnie była geniuszem. Przebrania zrobili sobie z byle czego, widziała już lepsze: sugerowały pseudonim głównie barwą stroju i drobnymi gadżetami. Oprócz dwójki, która powitała ją w drzwiach, rozpoznała Tony'ego Starka z odblaskiem rowerowym przymocowanym do kurtki, Hulka - największego chłopaka w drużynie ubranego w zielony podkoszulek bez rękawów, Czarną Wdowę w czarnych skórach i Storm, Afropolkę z tlenionym irokezem. Postanowiła im nie mówić, że ta bohaterka Marvela jest w ich zestawie równie obca, co Harley Quinn. Może zresztą o tym wiedzieli, tylko im nie wystarczyło ciekawych babek.

Rozejrzała się po ich twarzach i poprawnie zidentyfikowała przywódcę - Stark, a jakże inaczej. Był kilka lat starszy niż reszta. Pewnie nadał im wszystkim pseudonimy i jako jedyny mniej więcej wiedział, o co w nich chodzi. Wszystkie DVD wyblakły, w Internecie zachodnie filmy od dawna tkwiły za firewallem - a gdyby się do nich dostać, wymagały szybkiego transferu, który wystarczył na więcej niż krótkie filmiki o modzie i stylu. Ale zawsze się znajdzie starożytna kopia nagrana na gwizdek przez rodziców. Na bazarze sprzedawano czasem przedkryzysową rozrywkę (głównie pornole, co Jagodę bardzo dziwiło, bo tych akurat nie brakowało i współcześnie).

- Słyszałam, że planujecie rajd na Tarasy - zagaiła. - I poszukujecie współpracowników.

- Tak - odezwał się chłopak z odblaskiem. Siedział na stole i nonszalancko majtał nogą.- Tak się składa.

- Kogoś macie?

- Przyszedł taki jeden, Morty. Dużo gada, ale w tym kotle to się każdy przyda.

- Zwinie wam się z pierwszym łupem - powiedziała Jagoda. - I tyle się przyda.

- On mówił, że ćpasz.

- A słyszeliście, żebym kiedyś zawałiła robotę?

Popatrzyli po sobie.

- No dobra - odezwał się chłopak. - To jak do ciebie mówić? Wiedźminka?

Żachnęła się.

- Jagoda. Po prostu Jagoda.

- Ale ty masz konia. Nazywa się Płotka, nie?

- Nie. Stark, zgadza się? Powiedz mi, bo ja się trochę domyślam - chcecie ominąć dworzec i wejść do Złorasów tunelem od Jana Pawła. - Spoglądała, jak Stark jej przytakuje. -Rozsądnie. Ale nie rozumiem, jak zamierzacie dotrzeć do Centrum. W Śródmieściu są husarze i pieski, lornetki, szukacze, całe hordy gremlinów. Rozumiem, że przemyśleliście tę sprawę. Nie wiem, ukradliście czołg?

Stark uśmiechnął się leniwie.

- Sklep. I nie ukradliśmy, tylko pożyczymy.

Rzuciła mu sceptyczne spojrzenie.

- Nie da się pożyczyć sklepu.

- Bo tak oficjalnie to będzie w naprawie. Odpalimy agentowi działkę z rajdu - uśmiech chłopaka stał się szerszy. - Wiesz, że one są opancerzone? I mają radary? Chodzi o to, żeby przejechać przez wszystkie dzielnice i nie dać się napaść. I mają bagażnik wielki... no, jak sklep.

- Sprytnie...

Wariaci, pomyślała. I ogłaszają to przez radio. Każdy się domyśli, co się stało, gdy po powrocie z wjazdu oddadzą zdezelowany dostawczak. Kiedyś to by nie przeszło, może faktycznie korupcja osiągnęła już odpowiedni poziom? Poza tym kiedyś wyprawa do Żółtych Tarasów nie miałyby szans powodzenia nawet w kilka opancerzonych półciężarówek. Większe i silniejsze grupy padły ofiarą wojskowych dronów. Ale od tamtej pory minęło dwadzieścia lat, a Jagoda znała statystyki: dwie trzecie pozostawionych samym sobie robotów do tej pory uległo awarii albo wyładowały się na twardo podczas zimy. No i jeszcze tym bojowym mogła się wyczerpać amunicja, a już miały kilka okazji. Pominąwszy zamieszki podczas pandemii, były wcześniejsze próby.

To się mogło udać.

- Jaką rolę przewidujecie dla nowych? Kto jest u was operatorem taktycznym?

Zapadła dłuższa chwila konsternacji.

- No... Stark dowodzi - odparła wreszcie Harley.

Teraz Jagoda była zmieszana.

- Może nazywacie to inaczej - powiedziała. - Kto jest tą osobą, która ustala taktykę, żebyśmy się nie wystrzelali nawzajem w ciasnym pomieszczeniu?

Hulk założył ramię na ramię.

- A dlaczego pani myśli, że będziemy do siebie strzelać? Wjeżdżamy tam na drony. W chuj starożytnego złomu.

Przyjrzała im się uważniej. Pod ścianą leżał kałasznikow - w pracy bez sensu. Do pasów mieli przypięte maczety, ale nie wiedziała, czy umieli się nimi posługiwać. Święty Arnoldzie, w co ja się w ogóle wpakowałam?

- Może porozmawiajmy dłużej - zaproponowała. - Pochodzimy z różnych pokoleń, pewnie mamy różne podejście, ja też kiedyś pracowałam w drużynach. Wyjaśnię wam, czego się nauczyłam i jak to nazywaliśmy, wy wyjaśnicie, jak to wygląda u was, i jakoś się podzielimy doświadczeniem. Zgoda? Ma ktoś ołówek i kartkę?

- Papier to jest mordowanie drzew, proszę pani - odezwała się Storm z wyraźnym zgorszeniem. - Jeśli będziemy mordować drzewa, cywilizacja ludzka nie przetrwa. Mamy węgiel, proszę pani. Ekologiczny, narodowy. Rysujemy nim na podłodze.

- E... um... no dobra. - Jagoda podrapała się w ucho. - W takim razie dajcie węgiel.

\*\*\*\*\*

Dwie godziny później Jagoda już wiedziała z całą pewnością, że Avengersi byli tylko grupką uzbrojonych nastolatków, niewiele lepszą od gangu ulicznego. Umieeli trochę współpracować – tutaj musiała im oddać sprawiedliwość. Coś tam wiedzieli: rozpoznawali najpowszechniejsze podgatunki zwierzyny, potrafili zełomować zdobycz po ustrzeleniu, a ten cały Stark, samozwańczy przywódca i geniusz, znał podstawy przejmowania zdalnej kontroli radiowej. Zdejmowali pojedyncze sztuki, czasem przyjmowali zlecenia na dwa lub trzy drony i mieli jedynie mgliste pojęcie o tym, co ich czeka w Tarasach. W jej ocenie byli rozpaczliwie niekompetentni. Czy wszystkie drużyny teraz tak wyglądały? Co się stało z wojskowym doświadczeniem, którym tak jej imponowali dawni współpracownicy? Gdzie się podzieli prawdziwi fachowcy? Wyglądało na to, że teraz ona miała pełnić rolę szkoleniowca, a przecież sama uważała się za amatorkę, zwykłego samouka i to dość przeciętnego.

Tym bardziej ją niepokoiło, że tak chętnie się na to zgodzili, chociaż Stark na każdym kroku podkreślał, że on jest szefem i żeby nie wyobrażała sobie za dużo. Dała do zrozumienia – miała nadzieję, wyraźnie – że nie interesuje jej przejmowanie kontroli nad grupą. Od dawna pracowała samotnie i po zakończeniu misji nie zamierzała tego zmieniać.

Jeszcze przez kilka dni przychodziła na bazar, ale Fibonaccii już się nie pojawił. Dwa miesiące na lekach... albo chrzanić. Miesiąc. Skoro szykowała się na samobójczą misję ostatniej szansy, miesiąc jej wystarczył, żeby przerobić to przedszkole w pełnowartościową ekipę. A pełna dawka leku z całą pewnością jej w tym nie zaszkodzi.

W starych filmach pojawiała się czasem taka sekwencja, gdzie bohaterów szkolono do upadłego przed bitwą, zawodami lub innym dużym zadaniem. W ciągu następnych tygodni Jagoda czasem czuła się, jakby przeniesiono ją do jednego z tych filmów. Trenowali głównie w garażach Galerii Mokotów i w bloku, w opuszczonych mieszkaniach. Uczyla pozostałych, w jakiej kolejności wchodzić do pomieszczenia, jak stawać za sobą, żeby się nie postrzelić, jak patrolować otoczenie i gdzie mogą się znajdować ślepe punkty. Uczyla koordynacji, synchronizacji, wzajemnego zaufania. Pełna dawka lewotyroksyny zaczęła wywierać skutki po tygodniu – złomiarka stała się szybsza, bardziej energiczna, skupiona na celu.

Morty pojawił się na pierwszej zbiórce, a później już nigdy więcej.

- Kiedy wejdziemy, możemy mieć problemy z decyzją – tłumaczyła Jagoda, której wreszcie udało się zdobyć plan galerii. - Nigdy nie widzieliście, jak przedkryzysowe sklepy wyglądały od środka, więc ostrzegam, można się zgubić. Dlatego proponuję od razu wybrać cel, żeby się nie rozdzielać i wybrać najlepsze łupy. Proponuję ten. - Wskazała obszar kawałek od drzwi, na poziomie minus jeden.

- Tam będą baterie? - dopytał Spidey.

- Tam będą baterie, panele słoneczne, komputery, ile dusza zapagnie. To sklep z elektroniką. A tam nie wchodzimy. - Popukała większy obszar. - Nawet sobie nie wyobrażajcie. To supermarket.

- W supermarketach jest jedzenie - zauważył Hulk. - Może jednak? Zgarniemy mnóstwo ryżu i puszki z tuńczykiem.

Rozległy się pomruki aprobaty. Tuńczyk wyginął, więc puszki brzmiały egzotycznie i atrakcyjnie.

- Nie - ucięła Jagoda. - To duża, otwarta przestrzeń zorganizowana tak, żeby skołować klienta i odebrać mu zdolność decyzji. Drony będą mieć przewagę. Za baterie kupimy więcej jedzenia, chociaż może to nie będzie tuńczyk. Puszki są ciężkie. Poza tym długo by zajęło sprawdzanie, co się nie

zepsuło, nie zawsze porządnie je sterylizowali. A o ryżu zapomnij, do tej pory wszystko zjadły mole.

- Po co skołować klienta? - zdziwił się Hulk.

- Żeby kupić rzeczy, których nie potrzebuje.

- Jak na bazarze, tylko sprytniej - wtrąciła Harley Quinn tonem pełnym wyższości.

- Teraz uważajcie: sklep z elektroniką też przypomina mały supermarket. Na wejściu może być gorąco. Na bazarze jest podobne miejsce w zamkniętej części z wybitymi szybami, przetrenujemy. Później wchodzimy na poziom zero, biegniemy korytarzem, znajdujemy ten sklep. Aptekę.

Zawahali się.

- Morty mówił prawdę - rzucił Stark.

- Morty mówi prawdę tylko wtedy, gdy się pomyli - zareplikowała Jagoda. - Leki niewiele ważą, są drogie i potrzebne wszystkim. Niektóre się nie przeterminowały i ja wiem, jakich ludzie szukają. Sama zażywam leki, ale nie narkotyki. Przedkryzysowa medycyna.

- Pigułki młodości - wyjaśniła znów Harley. - Przyjaciółka mojej cioci mówiła, że łykasz pigułki młodości, dlatego jesteś stara, ale jeszcze nie zgrzybiała.

Jagoda wyobraziła sobie, że ma lasery w oczach.

- Dziękuję serdecznie.

- Ej, bez urazy - powiedziała dziewczyna. - Naprawdę się cieszymy, że odpowiedziałś na ogłoszenie, wiesz? Bo na początku to był tylko wariacki pomysł Starka. Wszyscy wiedzą, że do Centrum jeżdżą samobójcy. Kiedy przyszedł tylko Morty, gadaliśmy, czy może nie zrezygnować, ale później pojawiłaś się ty. Wiedźminka. I dopiero zaczęliśmy wierzyć, wiesz. Zaczęliśmy wierzyć, że to ma sens i że coś z tego może wyjść.

\*\*\*\*\*

Jagoda wspominała te słowa, wyglądając przez okno opancerzonego samochodu dostawczego, bezpieczna za ekranowaną szybą. Czarna Wdowa prowadziła, nie zwracając sobie głowy drogowskazami ani zasadami ruchu. Asfalt i tak był na wpół stopiony i dziurawy, nie działały światła, nie jeździły tramwaje. Huragany pozzucały wielkie plansze reklamowe, wyblakłe od wieloletnich deszczy.

Jagoda nie była tutaj od dwudziestu lat.

W apogeum pandemii usuwaniem ciał zajmowały się roboty sanitarne przekierowane z sortowni śmieci. Medycznych nie wystarczyło. To były proste modele, nie łądowały się autonomicznie, więc gdy je tutaj pozostawiono, znieruchomiały. Opierały się o ściany lub siadały na ławkach i murkach. Z daleka łądząco przypominały zamyślonych przechodniów. Znajomy krajobraz budził wspomnienia - Jagodzie dźwięczał w uszach jazgot politycznych agitatorów i melodie grane przez fałszywych Indian przed stacją metra Centrum, stukot tramwajów na torach, komunikaty w pociągach. Chętnie weszłaby jeszcze raz na ruchome schody, przespacerowała się aż do wiecznotrwałego Pałacu

Kultury, zamówiła kawę w kinowym barze. Ale to musiałyby być wcześniej, w latach dwudziestych, kiedy kawa jeszcze nie wymarła i sprowadzano ją do Polski. Dwudziesty siódmy? Ósmy? A może nigdy nie piła prawdziwej kawy, tylko mama kupowała jej lody, a sama zamawiała małą czarną?

Wiedziała, że i tak nie dotrą do rejonu dworca Śródmieście, a Pałac Kultury może zobaczy sobie z daleka. Jechali Jana Pawła, lewym pasem wbrew wszelkim regułom, i Jagoda wypatrywała zjazdu w podziemia w okolicach Złotej. W oddali, niedaleko Centralnego, już majaczyła główna przyczyna, dla której nikt się tutaj nie zapuszczał: oddział humanoidalnych, białoczerwonych sylwetek z podwójnym skrzydłem solarnym na plecach, husarzy FSO-Dongfeng wchodzących w skład kordonu sanitarnego patrolującego rejon dworca. Razem z nimi spacerowały czworonożne toyoty transportowe popularnie zwane pieskami, które pomimo swojego głównego przeznaczenia potrafiły też zabijać.

I żeby tylko na nich się kończyło. W powietrzu, jak ptaki, dziesiątkami fruwały lornetki, czyli drony zwiadowcze, dwa razy większe niż gremliny, furkocące jak miniaturowe helikoptery. Zresztą o wilku mowa, co najmniej dwa bezałogowe śmigłowce krążyły nad Śródmieściem, więcej tego syfu latało tylko w okolicach Belwederu i budynku Sejmu. Po chodnikach biegały niestrudzone, małe szukacze – chociaż budziły odruchowy strach, służyły do tego, żeby odnajdywać nieprzytomnych chorych – także w trudno dostępnych miejscach – i przekazywać informacje o ich położeniu. Były inteligentne, lecz delikatne. W innych, bezpieczniejszych dzielnicach dawno poszły na złom.

Jagoda dostrzegła jeszcze kilka medycznych beemek, autonomicznie sterowanych karetek zaparkowanych w trybie stand-by. Do Warszawy poszedł najlepszy sprzęt, duma MON-u, niektórych nie wykorzystywano nigdy wcześniej. A już na pewno nie tylu naraz. Śródmieście może nie było już zaludnione ani zadżumione, ale na pewno mocno zadronione. I cholera jedna wie, czego się nauczyło oprogramowanie autonomicznych maszyn po tylu latach braku nadzoru.

Stare filmy ostrzegały przed buntem robotów. Nic takiego się nie stało, drony w razie błędu oprogramowania dało się kontrolować radiowo, każda jednostka miała wyszkolonych operatorów. A przynajmniej powinna mieć, bo wskutek zmian kadrowych wywołanych kolejno upadkiem rządu, kryzysem ekonomicznym i epidemią, w największy kocioł posłano ledwo wyszkolonych zupaków. Wszyscy byli połączeni wojskowym intranetem i kiedy pierwszy zaczął się dusić na posterunku wskutek wyjątkowo złośliwej odmiany wirusa, ludzie spanikowali.

Nie jest dobrze, kiedy wojsko panikuje.

Jagoda nie знаła dokładnie przebiegu wydarzeń ani przyczyny, dla której stracono możliwość przejęcia kontroli nad mechaniczną armią. Wiedziała tylko, że mądrość ludowa określa to wydarzenie jako jeden z największych i najtragiczniejszych fakapów w historii Polski. A było ich trochę.

- Nie widzą nas jeszcze – głos Harley lekko zadrżał.

- Z daleka nie powinny. – Jagoda dopięła piankowy kombinezon. – Jesteśmy dla nich niewykrywalni. Wszystkie sklepy mają teraz chińskie ekranowanie.

- Wiesz może, dlaczego to się nie rozlało po Warszawie? Zawsze się zastanawiałam.

- Niektóre się rozlały – odparła złomiarka. – Ale to pojedyncze przypadki. Wojsko miało mimo wszystko porządny sprzęt, trzymają się zaprogramowanych rewirów. Husarze nie zareagują, jeśli nie wjedziemy im pod lufy, są silne, ale głupie. Uważajcie na mediaboty i gremliny, koreańczyki łatwiej mutują i w grupie robią się sprytniejsze. Pamiętajcie, że szukacze nas widzą, bo działają na ultradźwięki, a nie na podczerwień. Co im robimy?

- Traktujemy EMP-ownicą, żeby nie poinformowały innych - odezwały się głosy.
- I czego nie robimy?
- Nie rozdzielamy się, żeby nie wyjść z zasięgu radiodżamingu.
- Już to wszystko słyszeliśmy ze sto razy - wtrącił Hulk.
- No to do roboty i na roboty.

Odpowiedziały jej ciche jęki zażenowania. Uprzejmie postarała się ich nie słyszeć.

Skręcili w lewo za Złotą i zjechali ślimakiem na podziemny parking. Czarna Wdowa zwolniła, wszyscy już dzierżyli w rękach broń. Hulk miał w plecaku zagłuszacz. Wiedzieli, że nie mogą się rozdzielać, bo zakłócali także sygnał własnych krótkofalówek; musieli wybierać między utrudnioną łącznością, a ściąganiem stada dronów z całej okolicy. Droga rozgałęziała się tuż przed wjazdem, skręt w prawo doprowadziłby ich na pętlę autobusową. Minęli go w napięciu, obserwując, czy przypadkiem nie zaplątał się tam patrol husarzy.

Na dole było prawie pusto.

W Warszawie nie doszło do żadnej nagłej apokalipsy, nie wybuchła bomba, nikt nie przerwał cywilizacji w pół zdania. Wygasła stopniowo. Najpierw kryzys sprawił, że centra handlowe zaczęły przypominać staruszkę z niekompletnym uzębieniem - zamknięto co drugi lokal, pozniakały liczne butiki i kawiarnie. Później ostrzegano ludzi przed epidemią. Wreszcie wprowadzono stan wyjątkowy. Gdy na dworcu pojawiły się roboty, Złote Tarasy były już zamknięte od wielu dni.

W gigantycznej, ciemnej przestrzeni stało zaledwie kilka samochodów - większość elektrycznych i jeden starszy nissan. Bramki były podniesione. Czarna Wdowa jechała bardzo powoli, uważając zarówno na progi hamujące, jak i na okoliczną populację dronów. Minęli w ciszy stos towarów uskładanych pod filarem prawie do samego sufitu, istne gniazdo uwite z pięciuset i jeden drobiazgów. Jagoda dostrzegła na wierzchu krzesła ogrodowe i różowy nocnik. Dookoła krzątały się gremliny. Chociaż powinni być dla nich niewidzialni, drgania wyraźnie je zaalarmowały; niektóre zastygły w powietrzu, jakby wężąc.

Zaparkowali przy samych drzwiach i przez parę minut nie ruszali się z miejsca, czekając, aż drony stracą zainteresowanie. Wreszcie wróciły do pracy; jeden złapał w chwytaki pudełko Lego, inny pofrunął w stronę wejścia. Jagoda uważnie obserwowała, któredy wlatują. Drzwi wejściowe powinny być zamknięte na łańcuch, ale okazało się, że w szybie widnieje okrągły otwór, dostatecznie duży, żeby zmieścił się w nim człowiek. Dobra wiadomość: nie muszą wchodzić na rympał. Zła wiadomość: będzie trudno ominąć lokatorów.

- Naliczyłem trzynaście - szepnął Stark. - Zezrą nas.
- Nie widzą nas. Chodziliście już w piankach - przypomniała Jagoda. Zanim dołączyła do drużyny, Avengersi mieli tylko dwa kombinezony zdolne oszukać czujniki ruchu (przynajmniej z daleka) i używali ich na zmianę. Złomiarka przyniosła swoje zapasowe, odziedziczone po współtowarzyszach, którzy przeszli na emeryturę, rozpiłi się lub zginęli w akcji. Jeden pasował nawet na Hulka. Już się spociła, jej skóra nie lubiła tworzywa, czerwone plamy będą schodzić z jej ciała całymi tygodniami. Woląa obywać się bez, ale tutaj nie dało się inaczej.

Chłopak skinął głową, spróbował się opanować.

- Latają w cyklach - dodał po chwili. - Czekajcie, powiem, kiedy iść. Nie teraz... nie teraz... dobra, już!

Opuścili sklep na sygnał, odruchowo przyjmując wyuczony szyk. Bardziej płynęli, niż biegli. Przykucnięci, przemknęli kilka metrów aż do drzwi, przeszli przez dziurę jedno za drugim. Po prawej windy, po lewej - klatka schodowa. W przeciwpożarowych, ciężkich drzwiach wytopiono kolejny otwór.

- Jebaniutki - szepnął Stark.

- Gremliny tego nie potrafią - odmruknęła Jagoda odrobinę zaniepokojona. - Skorzystały z cudzej pracy. Czekamy tutaj. Mają wąskie gardło. Zdejmujemy wszystkie, po jednym. Bo będziemy tędy wracać.

Przygotowali broń palną. Powstrzymała ich ruchem dłoni.

- Jeszcze nie hałasujemy - przypomniała i dobyła noża.

Pierwszy dron wleciał od strony galerii, kołysząc się na boki pod ciężarem dziecięcego rowerka. Ledwo się mieścił w wypalanej dziurze. Jagoda jednym ruchem ściągnęła go na ziemię i zdruzgotała rotory. Była szybsza, silniejsza i bardziej zdesperowana niż miesiąc temu. A gremliny same wpakowały się w pułapkę.

Po trzecim zorientowały się, że w ich otoczeniu coś uległo zmianie, bo od strony parkingu przyfrunęło ich pięć naraz. Tyle tylko, że nie mogły równocześnie wlecieć do środka. Furkotały za szybko jak zaniepokojone owady i ustawiały się w kolejce, żeby zidentyfikować i unieszkodliwić źródło zagrożenia. A w środku czyhał drapieżny, zły pająk.

Weszli w rytm. Jagoda łapała te przylatujące z garażu, Storm, która też radziła sobie z nożem - od strony klatki schodowej. Reszta czekała, bo miejsca było niedużo i z każdą sztuką robiło się go mniej. W powietrzu dały się słyszeć tylko paskudne chrupnięcia i wściekły warkot rotorów. Po jakimś czasie na posadzce leżał stos drgających, czarno lśniących maszyn, kilka pudełek Lego, wiaderko z łopatką oraz jeden rowerek, a Jagoda opierała się o ścianę i oddychała.

- Piętnaście - powiedział drżącym głosem Spidey. - Piętnaście pierdolonych gremlinów. Po co nam Tarasy. Pakujemy, do domu i złomujemy.

- To może ja z Jagodą - odcięła się Storm. - Nic nie zrobiłeś, więc ci się nie należy.

- Dzielimy zdobycz po równo.

- Cisza - fuknęła złomiarka, gorączkowo się zastanawiając, jak ich namówić do kontynuowania wyprawy. Piętnaście gremlinów to fortuna, pół roku zarobku albo i więcej. Dwa na każdego, plus jeden na szefa grupy. Nie tak źle.

- No chyba was posrało - syknął Stark. - Wiecie, co się stanie, jak je wszystkie naraz pchniemy na bazarze? Kupicie sobie kilogram sorgo dla mamusi. Gremlin, gremlin, jakbyście gremlina nie widzieli. - Gestem pełnym dramatyzmu wskazał ręką na schody. - Złorasy, kurwa!

Weszli na klatkę schodową. Jagoda na przedzie, aż nadto świadoma, że teraz ustawili się w kolejce dokładnie tak samo, jak wcześniej gremliny. Jeśli sprzyjało im szczęście, wybili wszystkie. Były bardzo sprawne jak na drony działające nieprzerwanie przez dwie dekady. Zastanawiała się nad tym przez chwilę, ale uznała, że popada w paranoję.



Wreszcie znaleźli się na poziomie minus jeden.

Jagoda kiedyś nie zwracała uwagi na monumentalne, rozświetlone przestrzenie, korytarze szerokie jak ulice, witryny wypełnione po brzegi towarami: żywnością z całego świata, przedmiotami codziennego użytku, kosmetykami, artykułami stworzonymi tylko po to, aby uprzyjemniały życie. Dla każdej innej epoki, włącznie z obecną, była to trudna do objęcia rozumem utopia. Wszyscy zapłacili za nią losem cywilizacji.

Światłówki dawno się wypaliły, ale nadal docierało tutaj dzienne światło. Pion ruchomych schodów był otwarty i sięgał aż do kopulastego sklepienia przez wszystkie piętra; nad ich głowami fruwały gremliny i mediaboty pogrążone w krzątaniu sensownej już tylko dla nich samych. Gdyby je zaalarmować, rój zleciałby się z każdego zakamarka centrum.

Poszczególne sklepy miały witryny zasłonięte roletami zamkniętymi na kłódkę, więc towar był niewidoczny (i dobrze – współczesne dzieci nie znały cywilizacji nadmiaru, Avengersi zgubiliby się w czynnej galerii handlowej), ale wszystkie oznakowano symbolami, które wgryzły się Jagodzie w pamięć jak natrętna reklama. Sklep elektroniczny znajdował się tuż naprzeciwko, lecz po drodze musieli minąć trzy rumbi siedzące sobie spokojnie na mrugających stacjach ładowania (nadal działały panele zainstalowane tuż przed kryzysem), jednego Ryśka – jednookiego, zwalistego robota ochrony, oraz lalkę ulotkarską. Ta ostatnia nie miała żadnych paneli ani stacji dokującej, wyglądała na wyładowaną i nieruchomą.

Jagoda machnęła ręką. Potruchtali za nią w grzecznym szyku, z bronią wycelowaną tak, jak nakazywał trening. Bez większych trudności dotarli do drzwi, chociaż czuła, że fruwające nad głową drony nie podobają się nikomu.

Hulk pochylił się nad kłódką i przez chwilę piłował ją multitoolem, aż puściła. We trzy osoby, razem ze Starkiem, podnieśli roletę do połowy. Kiedy ich oczom ukazał się skarbiec, wszyscy na chwilę zamarli w pełnym grozy zachwycie graniczącym z religijnym uniesieniem. Pierwszy rząd bielutkich regałów pokazywał tylko część asortymentu, ale zewsząd wystawały reklamy i wielkimi literami wypisane ceny z krzykliwie ogłoszonymi rabatami. Drobną elektroniką wyposażoną w ekrany. Komputery. Robotyka domowa – zautomatyzuj swoje mieszkanie. Czysta energia, czyli panele solarne wszystkich rozmiarów i kształtów. Przedmioty niemające związku z elektroniką takie jak garnki i patelnie. Dyski do zapisu danych. I baterie, baterie, baterie.

Na drugi rzut oka niektórzy zaczęli mieć wątpliwości.

- Jakoś mało tego jest – szepnęła Harley. – Leżą na stojakach po jednej sztuce, wszystkie te komputerki nie zajęłyby pół skrzynki w magazynie.

- Bo to sprzedaż w detalu, chodzi o to, żeby każdy kupił co innego i się odróżniał – wyjaśniła Storm. – Chodzili cali tym obwieszeni, widzisz? – Wskazała reklamę przedstawiającą roześmianą młodą kobietę w okularach VR i z tradycyjnym smartfonem w ręku.

- No tak, ale nie obłowimy się bardzo, nie wszystko się nadaje.

- To tylko wystawa – odezwała się Jagoda. Spojrzeli na nią uważnie. – Powtórzę, bo widać nie wszyscy pamiętają. Magazyny są na tyłach sklepu. Każdy wybiera dwie-trzy różne rzeczy, sprawdza ich nazwy i zabieramy to, co leży w pudełkach. A-a, ale zaczekajcie. – Wskazała palcem. – Dwa gremliny po prawej, trzy po lewej.

- Widzę dwa Ryśki – zauważył Spidey. – Chowają się za szafkami. O, jeden się ruszył.

- Stacje dokujące działają - wtrącił Stark. - Ryśki to te opancerzone? Toshiba Richard?

Jagoda chciała rzucić, że wszystkie Ryśki to fajne chłopaki, ale w porę ugryzła się w język. Dość babcynych dowcipów na dziś.

Zagłębili się między regały w drużynach dwa-trzy-dwa, z Hulkiem pośrodku. Wszyscy nadal znajdowali się w zasięgu jego zagłuszacza sygnału. Jagoda szła w środkowej trójce, na samym końcu, tak jak w układzie ćwiczebnym.

Gremliny wreszcie ich zauważyły. Do tej pory siedziały na stacjach dokujących pod sufitem, w tych samych miejscach od dwudziestu lat. Kiedy zamknięto sklep, zostawiono je w trybie stand-by, bez aktywnych poleceń, więc nic nie robiły i nie zdobywały ekspsa. Nie zmutowało im oprogramowanie, jak tamtym w garażu. Nie zajmowały się pracowitym, acz bezcelowym noszeniem przedmiotów z punktu A do upatrzonego przez siebie punktu B. Pofrunęły do nich nieco bezwładnie i przewidywalnie, jak grupka przerośniętych ofermowatych trzmieli. Kiedy podniosły alarm przeciwwłamaniowy i w powietrzu zabrzmiało naraz kilka identycznych damskich głosów „Uwaga, intruz!”, było już dla nich za późno.

Powietrze zgęstniało od kul. Złomiarze nawoływali się krótkimi okrzykami, koordynując się we wcześniej ustalonym rytmie. Jeden strzał, jeden dron. Trzy, cztery, pięć... nie wykończyli magazynków. I dobrze, bo w ich stronę nadchodziły już Ryśki.

Richardy służyły zwykle w policji i w ochronie, ich program wykluczał samobójczy frontalny atak. W dodatku jako drony naziemne nie potrzebowały odchudzenia konstrukcji i wyposażono je w solidny pancerz. Dwa duże, czarne roboty schowały się za filarami, biorąc intruzów na przeczekanie. Najłżejszy ruch powodował, że wychylały się zza rogu i wymierzały strzał.

Jagoda siedziała za regałem z garnkami, spocona i drżąca, i wymieniała ogień z robotem. Zmieniała magazynki i z trybu półautomatycznego przełączyła broń na powtarzalny - w przypadku Ryśków bardziej się liczyła precyzja niż siła uderzenia. Przeceniła się. Za długo tutaj siedzieli. Niepotrzebnie załatwiła nożem osiem czy dziewięć gremlinów. Z rękami dygocącymi ze zmęczenia nie umiała wycelować dostatecznie dobrze, żeby trafić we wrażliwe miejsca: złączenia między segmentami zbroi, kamery w oczach - i unieruchomić cel.

Wystawiła samą broń, na zachętę. Rysiek wychynął znów z naprzeciwka; kula świsnęła tuż obok. Zza drugiego regału wychyliła się Storm. Stuk, stuk, stuk. Trzy pociski wymierzone idealnie w to samo miejsce osłabiły, zarysowały i strzaskały pancerz. Robot zwolnił, nie zdążył schować się z powrotem.

- Avengereers! - ryknęła dziewczyna i przełączyła broń na strzał salwami. Odpryski poliwęglanu strzelały na wszystkie strony i Jagoda usłyszała własny śmiech.

- Robot trup! - wrzasnęła Storm, machając śrutówką jak flagą. - Wymarłoooo! Biało-czerwoni, do boju marsz!

- Mój też! - odkrzyknął Stark. - Wyginęłooooo!

Pozostali zahuczeli w odpowiedzi. Złomiarka podniosła kask i przetarła dłonią czoło. Rzeczywiście. Już nic nie ruszało się w sklepie i nic nie wydawało się nadchodzić od strony magazynu. Na posadzce wszędzie wokół leżały metalowo węglowe zwłoki i dymyły. Lokal przypominał kompletne pobojowisko, zasłane odpryskami półek i zniszczoną elektroniką, narobili harmideru na całe Złorasy (co nie miało znaczenia, skoro czujniki działały na podczerwień), ale dokonali dzieła.

Jagoda machnęła znowu ręką, żeby ucichli, i ostrożnie podeszła do drzwi na zapleczu. Były otwarte,

wyfrunęły przez nie dwa ostatnie gremliny. Po krótkiej inspekcji nie znaleźli nic poza spiętrzonymi aż po sam sufit pudełkami z towarem.

Byli bogaci.

- No dobra - zarządził Stark. - Tak, jak się umawialiśmy. Wybieracie coś sobie, ale żeby się za bardzo nie powtarzało, wyciągamy z magazynu i spierdalando.

- Apteka - przypomniała Jagoda.

- Chuja tam apteka. Pracujemy razem miesiąc, praktyka potwierdza legendę i w życiu nie widziałem zdrowszej starszej pani - powiedział chłopak. - Więc mi tu nie ściemniaj z apteką.

Jagoda potarła palcami nasadę nosa. Grozić mu? Podważyć autorytet i wytknąć, że przez całą akcję to ona faktycznie dowodziła grupą? Błagać i przyznać się do choroby, a tym samym - do słabości?

Popatrzyła na sześcioro nastolatków w piankach do nurkowania, aż przestępujących z nogi na nogę, żeby się dostać do bogactw sklepu z elektroniką. Czy w ogóle powinna ich narażać? Do tej pory szło gładko, ale mieli sporo szczęścia.

- Zabawne - mruknęła. - Pewnie uważaliście, że to ja pierwsza, jako nowa, podwinę ogon. No cóż, istnieją powody, dla których pracuję sama. Świat jest pełen Mortych.

Zapowietrzył się, pochylił do przodu, aż odbłask zawieszony na szyi wyskoczył z rozchylonego kombinezonu.

- Czy ty mi właśnie sugerujesz...

- Sugeruje i chyba ma rację. - Harley złapała go za rękaw. - Jak się teraz na nią wypniemy, będziemy jak Morty. Mały chujek, z którego się śmieje całe osiedle i który przynosi tego samego gremlina wszystkim zleceniodawcom? Zabiliśmy całe stado takich gremlinów.

Między grupą nastąpiła niewerbalna wymiana, której Jagoda nie rozumiała, i zapewne pojęłaby po znacznie dłuższym czasie pracy z drużyną. Nie zamierzała z nimi zostawać tak długo, rzeczywiście wolała polować solo. Jeszcze wyszłoby na jaw, że jej legendarnych umiejętności i świetnego zdrowia wystarczy tylko na krótkie zrywy między tygodniami odpoczynku. Pojęła jednak, że wygrała.

\*\*\*\*\*

Wyszli nieruchomymi schodami tuż pod kopulastym sklepieniem budynku, przy drzwiach na poziomie zero. Byli niewidoczni dla dronów, ale sami widzieli je doskonale. Teren przed wejściem patrolowała czwórka husarzy z pieskiem. Gdyby tylko zechciały, mogłyby przekroczyć drzwi obrotowe i stanąć do walki z grupą w ciągu dwóch minut. Trzymały się jednak rewiru i nie wchodziły do środka. Kazano im pilnować sąsiadującego z galerią wejścia na Centralny, toteż pilnowały.

Nad głowami fruwały roboty, więc w galerii panował hałas jak w fabryce. Jagoda nie po raz pierwszy pomyślała, jak łatwo ulec złudzeniu, że znaleźli się w stalowej dżungli, obcym środowisku naturalnym, gdzie wykształcił się własny ekosystem, a człowiek to jedynie zbędny przybysz z zewnątrz. Ale drony nie były istotami żywymi, nie miały celów ani pragnień, tylko mniej lub bardziej

zmutowane oprogramowanie. Rytualnie powtarzały wdrukowane zachowania, ucząc się i z biegiem czasu coraz dziwniej je modyfikując.

- W prawo - poleciała.

Nie wszystkie sklepy zostały zamknięte na głucho. Niektóre miały rolety uniesione do połowy - być może przeprowadzano inwentaryzację albo przenoszono asortyment, gdy wybuchły zamieszki w Śródmieściu. Pod jedną ze ścian leżał ludzki szkielet. Nieszczęśnik pewnie zmarł na gripę, ale wirus po tylu latach dawno stracił aktywność.

Tutaj już zachowywali więcej czujności niż na dole. Oprócz kilku rumb korytarzem w regularnych odstępach czasu spacerowały Richardy (kto im powiedział, żeby się łądować...?). Aptekę tak samo zastali półotwartą; po dłuższych oględzinach doszli do wniosku, że stacje dokujące są puste i wszystkie drony wyfrunęły na zewnątrz. Może wily sobie nowe gniazdo w dogodnym miejscu, a może to były te z garażu, liczyło się, że nic nie broniło dostępu do półek od góry do dołu wypełnionych lekami w kolorowych pudełkach i ciemnych słoiczkach, a na zapleczu można było użyć wytrychów, żeby dostać się do szuflad z prawdziwymi lekami. Jagoda nie dowierzała własnemu szczęściu. Czy naprawdę wystarczył jeden pożyczony sklep na kółkach, sporo brawury i więcej niż sporo desperacji, żeby wejść w samo piekło i wynieść stamtąd skarby?

Wsunęli się do środka w szyku, celując śrutówkami we wszystkie miejsca, gdzie potencjalnie mógł się ukryć dron. Ale dyscyplina była chyba rozluźniona.

- Jagoda, co to jest? - szepnęła Storm, biorąc z półki zielone pudełko.

- Lekarstwo na przeziębienie - odszepnęła Jagoda.

- A to?

- Też lekarstwo na przeziębienie.

- Aż tyle chorowaliście na przeziębienie? - zdumiała się dziewczyna. - A to?

- A to na biegunkę.

Cała drużyna nagle się zatrzymała, prawie powpadali na siebie nawzajem.

- Wszystkie lekarstwa na tej półce to na sraczkę? - upewnił się Stark. - Nadają się dla małych dzieci?

- To się nadaje. - Jagoda się poddała, szyk rozpadł się już kompletnie. Wzięła z półki pudełko Smecty, a później węgiel leczniczy. - A to na zatrucia, też można dawać dzieciom, tylko trzeba przestrzegać instrukcji. Obydwa powinny być dobre. Jeśli jest bardzo źle, można podawać jeszcze loperamid, ale tylko starszym dzieciom. I nie przesadzić z dawką.

- I w magazynie jest tego więcej?

- Tak.

- A jest na kaszel? Taki duszący? Na zapalenie płuc? Albo lekarstwo na raka?

- Nie, w zwykłych aptekach nie ma lekarstw na raka - Jagoda nie była tego pewna, ale nawet gdyby znalazł się jakiś chemoterapeutyk, nie mogła go z czystym sumieniem dawać ludziom. - Antybiotyki pewnie do niczego się nie nadają, zresztą wszystkie bakterie odporne... zaczekajcie, poszukam swoich „pigulek młodości” i zaraz wam wszystko pokażę. Dobrze?

- Jagoda, a jeśli mieliście leki na wszystko, dlaczego ludzie poumierali na grypę? - Storm nadal trzymała w dłoniach pudełko Neo-anginu i zagryzała usta, jakby powstrzymywała się od płaczu.

Jagoda położyła jej dłoń na ramieniu. Dziewczyna nie mogła pamiętać nikogo, kto zmarł w epidemii, współczuła nieznanym albo krewnym znanym tylko z opowieści, z wrażliwością właściwą nastolatkom.

- Mieli strasznego pecha, kochanie.

Coś mignęło na skraju widzenia.

Jagoda obróciła się na pięcie ze śrutówką w dłoniach, celując w stronę podejrzanego regału. Zza rogu wyłoniła się pokryta pomarańczowym tworzywem chuda, psowata głowa szukacza. Złomiarka wypaliła i chybiła; mały dron ponownie znikł za regałem, słyszała stukot oddalających się metalicznych łapek i niemal zwierzęce kwilenie.

Jak długo tu stał? Dreszcz przeszedł jej po grzbiecie. Szukacze nie należały do obsługi galerii handlowych. W ogóle nie powinno ich tutaj być. Ale mogła się oczywiście domyślić, bo właśnie te roboty umiały wycinać dziury w drzwiach i szybach. Program nakazywał im przedostawać się w trudno dostępne miejsca, szukać ludzi i dzielić się informacjami o ich położeniu.

Ścierpła jej skóra. Doskonale wiedziała, czego się nauczyły z takim oprogramowaniem, przez lata tylko w towarzystwie innych robotów. Jej ciało poruszyło się wcześniej, niż podążyła za nim wola. Zorientowała się, że leży za ladą wsparta jedną ręką o podłogę, ze strzelbą w drugiej.

- Na ziemię! - krzyknęła. - Już!

Stark padł natychmiast, Spidey i Harley też, odruchowo. Czarna Wdowa właśnie stała osłonięta regałem, więc tylko przykucnęła. Storm rzuciła pudełko leku i schyliła się z lekkim opóźnieniem. Hulk się zawahał, tylko na krótką chwilę.

Od wejścia huknęła zmasowana salwa, roztrzaskując półki na drzazgi, przewracając bliżej stojące regały, posyłając w powietrze dziesiątki pudełek suplementów i leków, rozbryzgując krew chłopaka po całym lokalu. Jagoda wychyliła się z za lady o milimetr i zaraz schowała, gdy lufy skierowały się w jej stronę.

- Kurwa, kurwa, kurwa - mamrotał Stark.

Jagoda liczyła.

Cztery Ryśki. Dziesięć gremlinów, pewnie od dawna latających luzem i wyekspionych. I jeden autentyczny husarz. Z nieco zadrapanym pancerzem, być może w zamieszkach dwadzieścia lat temu, pewnie stracił resztę swojego oddziału. I z potężną, ciężką giwerą opartą na ramieniu. Miał do wyboru jeszcze armatkę z farbą do rozpędzania zamieszek, ale ta wisiała przypięta na plecach. Nie wiadomo, ile mu zostało amunicji. Może nie przyjdzie ich więcej.

Gdzieś tam musiał zostać szukacz. Zwiął albo poszedł po posiłki. Pewnie ich wykrył jeszcze tam, w sklepie elektronicznym, kiedy wypychali plecaki łupem. Nie zdradził się ze swoją obecnością - zdołał się nauczyć, że mogą do niego strzelać. A później śledził ludzi, bo tak miał. Bo ich lubił i drogą radiową informował pozostałe roboty, że kilku znalazł. Na wezwanie odpowiedziały wszystkie, którym oprogramowanie zmutowało dostatecznie, żeby wyszły poza fabryczne schematy.

Storm piszczała jak przerażony psiak.

- Gremliny! - huknęła Jagoda. - Pamiętajcie, że nadal nas źle widzą!

Chyba poskutkowało, bo Avengersi pozbiali się mimo fruwających wokół odprysków laminatu i drewna, przycupnęli w pozycjach strzeleckich i zaczęli odpowiadać ogniem. Hyundaie nie używały broni palnej, za to atakowały mniemanych intruzów chwytakami, dlatego należało je zdjąć w pierwszej kolejności. Padł jeden, drugi. Rzeczywiście były doświadczone, bo unikały strzałów. Jeden przedarł się przez zasłonę ogniową i sądząc z krzyków, zaatakował Harley. Jagoda nie widziała, czy dziewczyna sobie radzi.

Ryśki utrudniały, strzelając, gdy tylko wykrywały ruch. Trafiły jednego gremlina, który bujał się bezradnie i wysuwał stabilizatory, usiłując złapać równowagę na trzech rotorach. „Komu pierwszemu skończy się amunicja?” - zastanawiała się Jagoda, metodycznie wychylając się zza kontuaru. Dostrzegła, że husarz składa się do drugiej salwy.

- Uwaga!

Świat ponownie eksplodował. Płatki skruszonego tynku wypełniły powietrze niczym sylwestrowy brokat. Jagoda krztusiła się od pyłu.

Gdzieś obok przeładowano magazynek. To chyba Stark. Złomiarka straciła jakąkolwiek kontrolę nad bitwą i miała tylko nadzieję, że jej trening na coś się przydawał. Ciało Hulka nadal leżało pośrodku sklepu. Nie wiedziała, co ze Storm ani co z Harley. Część gremlinów spadła, inne zapikowały między półki. Nie miała pojęcia, czy i jakim kosztem zostały pokonane. Trzy ocalałe Ryśki przemieściły się bliżej o rządęk regałów. Jagoda zdecydowała, że to jej pora na ogień zaporowy. Wychyliła się i z ostrzegawczym rykiem wrywającym się z przepony przejechała serią po najbliższym Ryśku, dwóch gremlinach i co tam jeszcze podeszło. Richard się przewrócił, jeden hyundai spadł. Dobre i to.

- Husarz! - krzyknęła tym razem Czarna Wdowa.

Jagoda przypadła do podłogi po raz trzeci, czekając, aż ucichnie tajfun. Oczy ją piekły pod powiekami i łzy chyba ściekały po policzkach.

- Ile jeszcze? - rozległo się wołanie Starka. Głos mu się załamywał. - Ile magazynków?

- Mniej niż siedem! - odpowiedziała. - Może zużył?!

Wychyła z za lady z nadzieją, że wyliczyła prawidłowo. Zobaczyła, jak husarz rzuca giwerę na ziemię, błyskawicznym ruchem biegnie w stronę najbliższego przeciwnika - ziemia drżała pod jego ciężarem - i chwyta go za ramiona. To akurat była Harley. Wyciągnął ją zza regału, pieprząc coś o aresztowaniu i niestawianiu oporu, nieskazitelną przedkryzysową polszczyzną nagrany głosem sławnego aktora. Gdyby Jagoda się skupiła, przypomniałaby sobie którego.

Dwa pozostałe Ryśki, porysowane, z potrzaskanym pancerzem, ale nadal ruchome, obróciły się jak na komendę i zaczęły strzelać, kula za kulą, prosto w dziewczynę. Jagoda napotkała spojrzenie jej szeroko otwartych oczu.

Stark wyskoczył z ukrycia z twarzą czerwoną od płaczu i potykając się o własne nogi, pobiegł prosto na husarza. Próbował go ścigać jeden z hyundaiów, ale spadł, zestrzelony zbłąkaną kulą. Chłopak dobiegł z nożem do roboty, lewą ręką złapał go za ramię, prawą wprowadził ostrze w kark, prosto w system sterowania, jakby przytulał maszynę razem z Harley. I tak zastygł, podczas gdy Richardy wymierzały mu kolejne strzały w plecy.

Złomiarka strzelała do Ryśków. O ile dobrze widziała, dwoje pozostałych przy życiu członków

drużyny też. Sypał się na ziemię czarny laminat, skwierczały obwody, pękał poliwęglan.

Znieruchomiały wreszcie.

Opadał tynk.

Cisza dała się kroić nożem. Jagoda słyszała własny puls.

Oraz tupanie mechanicznych łąpek zbliżających się do lady.

Napompowana adrenaliną wyskoczyła szybciej niż robot, złapała szukacza za pomarańczowe nóżki, a potem starannie zgruchotała łąpek nożem.

I znów zapadła cisza - zmęczona jak sama Warszawa.

\*\*\*\*\*

Jako jedyna przeżyła bez żadnych obrażeń, zbyt trzeźwo też oceniała sytuację, żeby stwierdzić, że to zasługa jej umiejętności. Miała farta, ot i tyle. Prowadziła drużynę na śmierć od chwili, gdy zignorowała dziurę w szybie na podziemnym parkingu i nie zastanowiła się, do czego mogą być zdolne doświadczone szukacze, bo za bardzo zależało jej na lewotyroksynie.

Pozostała przy życiu trójka - Spidey, Storm i Czarna Wdowa - siedziała za kontuarem, w przestrzeni nienaruszonej strzelaniną. Zakrawało na ironię, że prawie dali się zabić w aptece, ale właśnie dzięki temu przetrwali po bitwie. Najgorsze obrażenia odniosła Storm, pokaleczyły ją chwytaki gremlina, przecinając żyły i mięśnie na przedramieniu. Jagoda odkaziła i zaszyła ranę, chociaż najpierw musiała znaleźć opakowanie beta-blokerów, żeby przestały jej się trząść dłonie. Według pobieżnej oceny złomiarki dziewczyna straciła sporo krwi i będzie mieć szczęście, jeśli zachowa sprawną rękę.

Żadne nowe roboty nie próbowały ich odnaleźć, ale i tak nie mogli tutaj czekać zbyt długo. Jagoda czuła nienawiść do samej siebie, gdy przeszukując szuflady z lekami, znalazła swoje złote runo. W tabletkach po dwadzieścia pięć, pięćdziesiąt, sto dwadzieścia pięć, dwieście... całe stopy. Ile tego wyjdzie, jeśli uskładać dawki? Samych dwusetek było z dziesięć pudełek. To dwa i pół roku. Policzyć wszystkie, nazbiera się cztery albo i pięć. Kupiła sobie pięć lat życia. Wysypywała blistry z niepotrzebnych tekturek i pakowała je na ścisk do plecaka. Wejdą i jeszcze zostanie miejsca na inne łupy, teraz, gdy oczyścili sobie drogę, już nie musieli zachowywać mobilności. Wyjęła nawet zapasową torbę z cienkiej tkaniny.

Oczy znów ją piekły - i to nie z powodu pyłu. Rozpoznawała opakowania. Wcześniej, gdy zdobywała lek u Fibonacciego, wydawało jej się, że są tylko podobne do tych, które kupowała w aptece przed laty. Nie mogły być identyczne, bo niby dlaczego? Produkowano je nadal w odległej Szwajcarii. Daty ważności były zatarte, ale rozumiała, że doktorzek ze skąpstwa pozyskiwał lek bliski końca terminu, po obniżonej cenie.

„Ta baterijka ma na sobie ludzką krew, wiesz o tym?”

„Pod Sochaczewem był nieruszony magazyn.”

„Jestem zwykłym detalistą, leki szmuglują nam mrówki.”

Doktorek jednak od początku kłamał. Nigdy nie wpuszczono go za granicę. Może nie istniała żadna zagranica. Jego tytuł nie miał już znaczenia i nie dawał żadnych przywilejów, po prostu skończyły się łatwe do obrobienia magazyny. Chociaż znając prawdę, Jagoda podejrzewała, że Fibonacci był tylko magistrem albo i zwykłym technikiem farmacji. Lub pospolitym hipochondrykiem, który nauczył się tego i owego o etykietach.

Czarna Wdowa i Spidey przespacerowali się jeszcze po aptece. Sąsiadowała z drogerią, tam też znajdowały się skarby, za które na bazarze dało się dostać przyzwoitą cenę. Zadawali jej tylko zdawkowe pytania, już bez dziecinnej ciekawości i zachwytu w głosie. Jagoda zastanawiała się, ile zrozumieli. Za co zginęli ich towarzysze.

Wymieniła trzy młode życia na jedną starą babę.

Trzy przyszłości za jedną terażniejszość.

\*\*\*\*\*

Niebo krwawiło zachodem słońca, a nad Warszawą zapadała kolejna podzwrotnikowa noc, gdy Jagoda ciężkim krokiem zbliżała się do bloku na ulicy Raabego. Powietrze laskotało nozdrza ciężkim dymem grilla i zapachami podpłomyków z sorgo, pieczonych batatów oraz mięsa drugiej świeżości hojnie obsypanego przyprawami. Dzieci skakały na odrapanych rowerkach po chodniku, a gdzieś w piwnicy powarkiwał nielegalny generator prądu. Najmniejszy liść nie drgał na wietrze, wilgoć wdzierала się do płuc, sugerując nadchodzący huragan.

Na cembrowinie porośniętej trawą piaskownicy siedział Morty i dwie dziewczyny z osiedlowego gangu. Nawet nie dostrzegł Jagody, opowiadał ze swadą jakąś historię, gestykulując dla podkreślenia słów. Musiała być ciekawa, bo słuchaczki siedziały wpatrzona w niego jak w obrazek. Obok stał odrapany elektryczny skuter z wpiętym kablem ciągnącym się aż do bloku i znikającym w piwnicznym okienku, a do skutera przypięto sakwę z ładunkiem, zapewne cały czas tym samym.

Złomiarka weszła po schodach, zapukała do drzwi i nie czekając na odpowiedź, otworzyła je własnym kluczem. Paulina siedziała przy laptopie, wdzierając się do kamery. Miała słuchawki na uszach.

Odwróciła się dopiero, gdy Jagoda zrzuciła na ziemię korpus szukacza. W ślad za nim poszedł gremlin.

A później wysypała zawartość plecaka, który zapakowała specjalnie dla matki. Szampon i farba do włosów. Słoiczki kremów przeciwzmarszczkowych. Płyn do mycia naczyń, paczki jednorazowych golarek, rajstopy z elastanem oraz bambusowe skarpetki, szczoteczki do zębów, lusterko, worki na śmieci. Myjki do pleców i zastrzyki z hialuronowym wypełniaczem do ust. Ręczniki, szczotki do włosów, a nawet jedna kwadratowa patelnia do omletu po japońsku. Męskie i damskie perfumy, całe wielopakowane tealightów i wkładów do zniczy. Stos piętrzył się coraz wyżej i wyżej, a Jagoda nie mówiła ani słowa.

Nie było takiej potrzeby.

*Aleksandra Janusz*



*Opowiadanie po raz pierwszy ukazało się w zbiorze „Fenix Antologia 5/2019”, znanym także jako Fenixa. Zbiorek został skompletowany przez – w przeważającej części – kobiecą ekipę i pełniłam w nim rolę gościnnej redaktorki naczelnej.*